DWIE DROGI.

POWIEŚĆ OBYCZAJOWA.

NAPISAŁ

ANTONI ZIELIŃSKI

em. naucz. szkoły wydz. w Gródku Jagiellońskim.

„Idź książeczko w świat,
Do domów i chat
Do dzieci i młodzieży
Przemów, jak żyć należy.
Wskaż im która droga,
Prowadzi do Boga!“

GRÓDEK JAGIELLOŃSKI.
NAKŁADEM AUTORA.
Z drukarni J. Czaińskiego w Gródku Jagiellońskim.
1908.

DWIE DROGI.

POWIEŚĆ OBYCZAJOWA.

NAPISAŁ

ANTONI ZIELIŃSKI

em. naucz. szkoły wydz. w Gródku Jagiellońskim.

„Idź książeczko w świat,
Do domów i chat
Do dzieci i młodzieży
Przemów, jak żyć należy.
Wskaż im która droga,
Prowadzi do Boga!"

GRÓDEK JAGIELLOŃSKI.
NAKŁADEM AUTORA.
Z drukarni J. Czaińskiego w Gródku Jagiellońskim.
1908.

I.

Na Podolu, w okolicy Zbaraża, we wsi Szlachcińce, mieszkał stary weteran wojsk polskich, Mikołaj Tur. Bardzo dawno, bo jeszcze za króla Jana Kazimierza, jego pradziady przybyli tu z Litwy, tu się osiedlili, i zostawili potomkom swoim niewielki kawałek pola, chatę i ogród, to stanowiło całe mienie Mikołaja, a miał do wyżywienia żonę Barbarę, jej ojca, staruszkę matkę swoją i troje dzieci: Zosię, Adama i Wojciecha. — On się trudnił bednarstwem i wyrobem barci, ulów żłobionych, a jego żona szyciem, obramowaniem jupek szychem; tkała też z włóczki krajowej pasy i ozdobne fartuszki. Tak oboje zarabiali na utrzymanie rodziny, pracowali od świta do późna wieczór, aby tylko rodzicom i dzieciom na niczem nie zbywało. — Zaglądnijmy do ich domku: Zewnątrz ściany pobielone, podwórze omiecione, wszędzie ład i porządek w pracowni; wewnątrz w większej izbie stół wielki, na stole bocheneczek chleba. „Na Podolu był zwyczaj taki, że zawsze stół był nakryty obrusem, a bochen chleba i sól przykryte mniejszym obrusem“, naokoło ścian ławki, a na boku szafa z naczyniem. Na ścianach obrazy świętych, a przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej świeciła się lampka. — Obok obszernej izby był alkierz mniejszy, lecz schludny i jasny; tu mieszkali ich rodzice; po drugiej stronie były kuchnia i komora, czyli spiżarnia. Tu można poznać o zamiłowaniu porządku i schludności. Gospodyni sama, pomimo, że była przy pracy, ubrana w jupkę granatową, szychem wyszywaną.

Koło domu był ogród, otoczony żywopłotem szpilkowym, roznoszącym miłą woń, w którym liczne ptaszęta gnieździły się i swoim spiewem uprzyjemniały pracę mieszkańców tej zagrody. — Przed oknami był ogródek kwiatowy, w którym rosły wonne róże, białe goździki, pełne lewkonje, bratki rezeda i. w. i Wszystkie grządeczki były obsadzone, gęstym bukszpanem, którego gałązeczek używają na bukiety weselne. Ogródkiem tym zajmywała się przeważnie Zosia. Ona czyściła grządeczki z chwastów, przesadzała i podlewała kwiatki i zbierała nasienie. Adaś też miał dwie grządeczki, na których sadził drzewka owocowe, pielęgnował i uszlachetniał czyli szczepił. Tej sztuki szczepienia nauczył go ogrodnik dworski, Sadowski.

On był oczytanym i światłym ogrodnikiem; znał się na ziołach i ich zastosowaniu w lecznictwie, sporządzał różne leki i maści na gojenie ran. Lud szukał u niego rady w różnych sprawach i sprzeczkach. On chętnie słuchał i często godził poważnionych swem wypowiedzeniem: „Mądry nikogo nie obrazi, a sam obrażony, przebacza". „Głupi nie przebacza a procesy wytacza".

Barbara, jako mądra i rządna gospodyni, myślała o wszystkich i o wszystkiem, co się dotyczyło gospodarstwa domowego. Przyzwyczajona od młodości do pracy, chętnie i bez narzekania spełniała swe obowiązki. Ogród jej był na czas sprawiony, obsiany i zasadzony różnymi warzywami, spiżarka zaopatrzona we wszystko czego dom potrzebuje, lubiła, aby był zapas wszystkiego: soli, mąki, słoniny, masła i sera. — Trzymała pewną ilość kur i gęsi, wiedziała, jak je karmić, aby się niosły, jak je utuczyć, kiedy i za jaką cenę co sprzedać, jak przechowywać nabiał i mąkę; nie marnowała najlichszego ziarna, ale wszystko umiała zużytkować pożytecznie. — Ponieważ lubiała ładnie się ubierać, więc też i o swe dzieci dbała, zawsze były umyte, zaczesane i czysto ubrane. Dbała też o swego staruszka ojca i matkę męża,

starała się, aby na niczem im nie zbywało, aby mieli świeżą i czystą bieliznę. Pomimo, że oni w pracy nie pomagali, nie uważała ich za jakiś ciężar domowy, lecz z największem uszanowaniem i czcią wszyscy koło nich chodzili. Oboje mieli nie tylko w ustach, ale i sercu czwarte przykazanie Boskie:

„Czcij ojca i matkę swoją, chcesz li długo żyć na świeci i aby ci się dobrze powodziło"! To też Bóg im błogosławił. Pomimo, że nie mieli majątku a tylko z pracy rąk żyli, u nich był w domu dostatek, dzieci zdrowo się chowały, w domu zadowolenie i wesoło cała rodzina wstawała do pracy.

Sąsiedzi widząc, jak Barbara i jej dzeci nawet w dnie powszednie, w dnie pracy czysto ubrane, mawiali: U Turów zawsze jakby jakie święto, ona zawsze ubiera się tak jakby się spodziewała gości, lub jakby wyjeżdżała na odpust. Inni na to odpowiadali: Mówią, że on dawniej służył w wojsku polskiem przyzwyczajony do porządku i schludności, on tego żąda, a żona jego żądaniom czyni zadość. Aż miło przyjść do domu, gdzie jest ład i schludność panuje! — Barbara zaprowadziła w domu wspólną modlitwę: Ojciec matka i dzieci rano i wieczór odmawiali wspólnie modlitwę; po modlitwie dzieci całowały ręce rodziców, na znak czci i uszanowania. W domu nigdy nikt nie przeklinał, nikt nie mówił słów brzydkich, zawsze panowały tam zgoda i spokój; toż dzieci, mając taki piękny przykład, wzrastały w zgodzie, jedności i pracy. Niektórzy z sąsiadów przychodzili czasem do Turów na pogadankę, osobliwie w niedziele i święta i podziwiali jaki tu u nich w domu spokój i wzajemna zgoda. — Mikołaj opowiadał o dawnych czasach, zwykle jako wysłużony żołnierz zaczynał od wojny. Jak to dawniej bywało, gdy wojska polskie, pod znakiem białego orła walczyły z Zakonem pod Grunwaldem. O świetności Polski za Jagiellonów, za Stefana Batorego. O odsieczy pod Wiedniem za króla Jana III.

Sobieskiego i innych. Gdy opowiadał o rozbiorze Polski, jakto trzej sąsiedzi, porozumiawszy się, trzykrotnie dzielili się krajem naszym i narodem, jakto potem włościanie pod wodzą naczelnika Tadeusza Kościuszki walczyli w obronie Matki naszej Ojczyzny, a pod Racławicami zdobyli dwanaście armat. Jak tam włościanin Bartosz Głowacki, odznaczył się męstwem i walecznością. Słuchając tych opowiadań oświadczyli: To nie jeden, ale wszyscy powinni być tak waleczni jak Bartosz Głowacki, wszyscy powinni nieść mienie i życie w obronie wolności!

Jak przy długotrwałej pogodzie można spodziewać się burzy i ulewy, tak podobnie i w życiu ludzkiem dzieje się, że czasem nawet niespodziewanie jakiś wypadek zamąci spokój domowy. I nikt nie jest wolnym od przygód, jakie się w świecie zdarzają. Od pałaców do najuboższej chatki, od magnatów do najuboższego zarobnika dziennego, wszyscy muszą być przygotowani na różne doświadczenia, jakiemi Bóg nas dotyka. I u Turów spokój został zamącony: Adam przeziębił się, zachorował ciężko na zapalenie płuc. Rodzice zawezwali lekarza, który zapisał lekarstwa i polecił aby przez kilka dni je zażywał.

Matka pielęgnowała troskliwie i nie odstępowała go. Po czternastu dniach nastąpiło przesilenie. Adam powoli przychodził do zdrowia, ale sił nie miał dłuższy czas. Twarz wybladła, oczy zapadnięte świadczyły o ciężkiem przejściu choroby. Turowie dokładali starań, aby syna ratować i cieszyli się, gdy on powrócił do zdrowia. Smutek przeminął, zapanował spokój w domu a praca szła dawnym trybem. W tem jednego dnia zachorowała ich krowa i pomimo wszelkich starań i ratunku zginęła. Tu strata znowu dotknęła Turów, bo brakło mleka dla rodziców i dzieci, brakło okrasy do potraw, a gotówki nie było, aby natomiast kupić inną krowę, Barbara, która za młodu służyła we dwo-

rze, poszła do właściciela wioski i opowiedziała o stracie. Właściciel rzekł: Dam wam na odrobek krowę, bo wiem że gotówki nie macie. W tem nadeszła i żona obywatela i rzekła do Barbary: Już przedtem wspominałam memu mężowi o waszej stracie i postanowiliśmy dać z naszej obory dojną krowę na odrobek. Barbara ucałowała ręce obojgu państwa i dziękowała za tak wielką pomoc. Zaraz poszła do obory i przeznaczoną, ładną krowę przyprowadziła do domu. Co za radość w domu Turów, Mikołaj i dzieci ucieszyli się, gdy matka opowiedziała, że krowę dał obywatel na odrobek za kwotę 80 złp. czyli na dzisiejszą kwotę 40 Koron. Zwykle we dworze jest wiele i często roboty bednarskiej, więc do roku Mikołaj dług wypłacił. Pomimo choroby syna, pomimo utraty krowy, Turowie nie narzekali, nie złorzeczyli, nie przeklinali, lecz w pokorze znosili dopust Boży.

Chmury zasępiające ich życie rozpierzchły się, a znowu zawitał spokój i wszyscy oddawali się pracy codziennej. Adam pomagał ojcu wyrabiać klepki, dęgi a nawet nabijać obręczy; Zosia porządkowała w domu i pomagała matce w kuchni, a popołudniu szła do ogródka kwiatowego i pełła grządeczki z chwastów, Wojtuś jako najmłodszy pasał krówkę, a czasem i gęsi.

Wybierając się w pole zawsze brał ze sobą ligawkę i przygrywał na niej różne arye; a gdy już nagrał się do woli, robił z łoziny podpórki i drabinki do kwiatów wazonkowych, sprzedawał je ogrodnikowi, a za uzyskane pieniądze, matka kupiła mu czerwoną krakuskę z białym barankiem, i pawiem piórkiem. Wojtuś cieszył się, że sam sobie zarobił na tak ładną krakuskę.

Zarobkiem tym zachęcony, robił większe i mniejsze klatki, a gdy ojciec jechał na targ z wyrobami bednarskimi, brał je, sprzedawał i grosz do grosza składał. Wojtuś tyle w jednym roku ze swych wyrobów miał dochodu, że na

jarmarku w Zbarażu, kupiła mu matka buty safianowe, jakie wówczas w tamtych stronach noszono. On sądził, że mu już na niczem nie zbywa, skoro ma i ładną krakuskę i polskie buciki safianowe. — I Zosia miała dochody ze swego ogródka kwiatowego. Czy to jaka zabawa, czy wesele, we wiosce lub w okolicy, dziewczęta kupowały u niej kwiaty na koronę dla panny młodej i na bukiety dla drużek i drużbów. A krzaki bukszpanu około grządeczek kwiatowych, dawały ładny dochód, osobliwie w zimie, kiedy to brak kwiatów i zielonych gałązeczek. Jak poznajemy, wszyscy w domu byli zawsze pracą zajęci i wszyscy zarabiali uczciwie i grosz szanowali.

Rój pszczół.

Jednego dnia Wojtuś pasł krowę pod bliskim lasem. Pogoda była ładna, ptaszki śpiewały wesoło, słońce stało wysoko na niebie i nie skąpiło swego ciepła. Wojtuś szukał schronienia w cieniu pobliskich krzaków leszczyny, a krowę zostawił pasącą się na miedzy. W tem nagle krowa zdarłszy ogon do góry, zaczęła uciekać w kierunku lasu. Mały Wojtuś przeraził się i nie wiedział, co za powód ucieczki. Zerwał się z pod krzaków, patrzy, a to ogromna chmura pszczół wzbiła się wysoko w powietrzu, kłębuje to w tę to w ową stronę, to się wznosi wyżej to niżej, aż nareszcie po krótkim czasie, zaczęły osiadać na krzaku leszczyny, pod którym on spoczywał przed chwilą. Zakłopotany, nie wiedział, co się stało z krową, pobiegł do lasu szukać jej, lecz ani śladu, gdzie się podziała. Z płaczem biegnie do domu, aby powiadomić rodziców o wypadku. Matka wyszła naprzeciw i pyta: Wojtusiu! co się stało, że krowa z rykiem wpadła do domu tak przestraszona? Czy wilki pokazały się pod lasem, czy co innego? On powiedział, iż prawdopodobnie pszczoły ją ukłóły, bo ogromny rój leciał po nad nią i osiadł na krzaku pod lasem. — Adaś słysząc to, rzekł: Spiesz się Wojtuś! Pój-

dziemy i zbierzemy ten rój, bo szkoda tak go zostawić, gotów gdzieś w las polecieć. — Wzięli ze sobą na prędce konewkę z wodą, sitko, czyli maskę na twarz i pospieszyli obydwaj w to miejsce, gdzie rój osiadł. — Patrzą z daleka, ogromna masa pszczół wisi w kształcie ogromnej, długiej brody. Coraz bliżej podchodzą a tu pszczoły uderzają na nich i dotkliwie kolą żądłami. Wojtuś ze strachu chciał już uciekać, ale Adaś rzekł. „Miód słodki i dobry! Nie uciekaj!“ Gdy będziemy mieli pszczoly, będzie i miód. Czekaj! pomóż mi zebrać! — Ale on wyrzekł się obietnic słodkiego miodu i nie miał odwagi przystąpić bliżej. — W tem Adam skropił pszczoły wodą, podłożył konewkę pod sam rój, gdzie najwięcej ich siedziało, wstrząsnął gałązką silnie, a cały kłąb wpadł do konewki, potem położył ją, a reszta roju zeszła się i on przyniósł go do domu, i osadził w ulu. Po kilku latach, z tego jednego pnia rozmnożyła się dość wielka pasieka, którą Adaś zawiadywał: Osadzał roje, wybierał miód dawnym sposobem, to jest plastrami; sycił miód pitny, wytapiał czysty wosk do kościoła i na sprzedaż.

Słyszał o tem jak starsi ludzie opowiadali: „Pasieka wtedy się wiedzie, gdy pasiecznik poratuje bliźniego w biedzie“. Adaś nie skąpił miodu; na kolędę posyłał Ojcom Bernardynom i sąsiadom na ile go stać było. To też pasieka mu się wiodła i na starsze lata wyłącznie trudnił się chowem pszczół.

Rok 1831.

W roku 1831 żyło wiele ludzi, którzy pamiętali ostatni rozbiór Polski, to jest rok 1794. Wspomnienia te rozdzierały serca wiernych synów Ojczyzny naszej. Bo pomyślmy, jak to musi być boleśnie, przymusowo wyrzekać się własnej Ojczyzny! Jaka to boleść powstaje, patrząc, jak najezdcy na naszą Ojczyznę dzielą pomiędzy siebie lud, jakby jakie bezduszne istoty! jak to słupami

granicznymi oddzielają jednych braci od drugich! Te bole, ta rozpacz, popchnęła naród do porwania za broń, aby tych najezdców wyprzeć z naszej Ojczyzny.

Wszyscy, którzy czuli w sobie szlachetne serca, bijące miłością ojczyzny, miłością wolności, łączyli się z wojskiem polskiem w Kongresówce i stawali do boju z wrogiem. Młodzież szkolna, rękodzielnicy a nawet parobczaki ze wsi wstępowali w szeregi obrońców kraju naszego.

Adam, pomimo że miał obowiązek pomagać rodzicom w pracy, uczuł w swem sercu tak gorącą miłość Ojczyzny, że go nic nie mogło powstrzymać w domu. Pewnego dnia po modlitwie wieczornej, ucałował ręce rodziców i rzekł: Ojcze i Matko! Ojczyzna nasza w niewoli! Synowie prawi spieszą, aby uwolnić ją z więzów! Czuję to, że moim obowiązkiem z innymi stanąć w jej obronie! Proszę, błogosławcie mi, a jutro udam się do obozu, który stoi pod Beresteczkiem! Tam jenerał, Józef Dwernicki, formuje nowy szwadron kawaleryi, tam mam się zgłosić. — Rodzice błogosławili mu i naprędce postarali się, aby go wyprawić do boju, w pełnem uzbrojeniu i mundurze.

Rozstanie się z Adamem było krótkie, ale rzewne: Matka zalana łzami całowała go i ściskała a zakładając mu szkaplerz na piersi rzekła: „To jest tarcza, która obroni cię w boju“. Śpiewamy w pieśni: „Jeszcze kula nie była, by tę szatę przeszyła“! Ojczyzna jest wszystkich matką, walcz o jej wolność! — Ojciec przytulił go do piersi i żegnał się z nim mówiąc: „Miło i słodko jest umierać za Ojczyznę, tak mawiał Stanisław Żółkiewski, który zginął pod Cecorą w bitwie z Turkami. Bądź mężnym i walecznym, ufaj w Bogu a On ochroni cię od wszelkich przygód“. Wojtuś i Zosia rzuciły się na szyję Adama i dalej w beki i to tak głośno, że nie można było słyszeć słów ojca, który uspokajał i matkę i dzieci. — Zosia dała mu narodową kokardkę ze srebrnym orzełkiem, mówiąc, przyjmij to odemnie na pamiątkę, a Wojtuś złotówkę z

Matką Boską, dając mu ją rzekł: Powracaj, bo mi smutno bez ciebie! — Adaś jeszcze raz ucałował ręce i nogi rodziców, uściskał rodzeństwo i odjechał z innymi na oznaczony punkt zboru. Smutno było w domu po wyjeździe jego, Zosia i Wojtuś długo nie mogli uspokoić się z płaczu, i często zapytywali rodziców, kiedy on powróci? Rodzice im opowiadali, że on poszedł z innymi braćmi ratować i bronić Matkę ojczyznę, a gdy ją wybawi z niewoli, wtedy powróci do domu. Dzieci nie rozumiały, którą to matkę poszedł on bronić, ale uspokajały się tem, że on powróci.

Po dwudniowej podróży Adam stanął u celu i zaraz zgłosił się wedle danych wskazówek do obozu w Beresteczku. Liczył on wtedy lat siedmnaście, był silnie zbudowany, czoło miał pogodne, oczy niebieskie. W pierwszej chwili podobał się dowódcy oddziału, i po przedstawieniu się, przydzielono go do nowoformowanego pułku ułanów. Adam w krótkim czasie wyuczył się walczyć bronią i jazdy na koniu w różnych zwrotach. Brał z początku udział ze starszymi żołnierzami w podjazdach i mniejszych utarczkach, a później w wielkich bitwach pod Stoczkiem, Beresteczkiem i innych.

Wojna z Moskalami trwała dość długo, z różnem powodzeniem dla oręża polskiego. Zapał w całym narodzie był wielki, każdy prawy Polak chętnie składał ofiary jako dar narodowy na potrzeby wojenne. Wojsko dokazywało cudów waleczności, mężnie uderzało na przewyższające siły wrogów, cierpliwie znosiło głód i niewygody a wszystko dla miłości Ojczyzny. Pomimo tego poświęcenia się, nieprzyjaciel brał górę, bo naszych z każdym dniem ubywało, a jego przybywało. W bitwie nad Zbruczem jenerał, Józef Dwernicki dowodził czterotysięczną armią przeciw dziesięciu tysięcy nieprzyjacielskiego wojska. Po kilku walnych

bitwach został wyparty za Zbrucz i pod Tarnopolem złożył broń.

Ta klęska niepowodzenia wywarła wielki smutek w narodzie i w pozostałych przy życiu żołnierzach polskich. Nadzieje wolności smutno się zakończyły. Dużo poległo wojska polskiego na polu sławy, dużo też było rannych. Ci, którzy zostali przy życiu, dostali się do moskiewskiej niewoli. Jednych pędzono na Sybir, w kraje wiecznej zimy, a drugich zsyłano do katorzni i do robót podziemnych, lub wcielano w szeregi moskiewskich sałdatów. — W Szlachcińcach oczekiwali Turowie na powrót Adama, lecz nadaremnie, czas upływał a o nim i słuch zaginął: Ojciec był w Tarnopolu i Zbarażu, wypytywał się, czy nie wiedzą, co się z nim stało, lecz nikt nie dał stanowczej odpowiedzi: Jedni mówili, że zginął w bitwie pod Stoczkiem, inni że z oddziałem pociągnął pod Warszawę, a inni znów, że dostał się do niewoli.

Z wielkim bolem serca wracał stary Mikołaj do domu, w którym go oczekiwała żona i dzieci. Przestąpiwszy próg domowy, żona zapytała: I cóż? masz jaką wiadomość o Adamie? Ze łzami w oczach rzekł smutno: Różnie mówią, ale nic pewnego. Jedni żołnierze, którzy w tym pułku z nim służyli, powiadali, że zginął w bitwie pod Stoczkiem, inni, że pociągnął pod Warszawę, a mówiono też, że w niewolę się dostał.

Na to opowiadanie rozpłakała się żona, a dzieci płakały w żalu, wołając: Gdzież nasz drogi braciszek Adaś Gdzie on jest? Co się z nim dzieje?

Tak w niepewności upłynęło kilka miesięcy, ale matka miała przeczucie, że Adam żyje i codziennie odmawiała z dziećmi modlitwę o szczęśliwy powrót jego.

Powrót Adama.

Pewnego dnia pod wieczór, przybył do nich nieznajomy podróżny i prosił, aby go przyjęli na noc, bo po-

wraca z daleka i nie może iść dalej do wioski rodzinnej. Barbara, chętnie go przyjęła, bo trzymała się tego przysłowia polskiego: „Gość w dom, Bóg w dom“. Przy wieczerzy do której zaproszono i podróżnego, rozpoczęła się rozmowa o ostatniej wojnie: Barbara opowiadała, jak to jej syn Adam służył w pułku jenerała Dwernickiego i dotychczas nie wie, co się z nim stało. Podróżny słuchał uważnie a potem rzekł: Z tego opowiadania poznaję, że z waszem synem służyłem, w tym samym pułku. Barbara słysząc to, nie dała mu dalej mówić, zapytała: No i cóż się z nim stało? żyje? Tak jest, żyje. Byliśmy razem w bitwie pod Stoczkiem, pod nim padł koń, a on dostał się do niewoli, to samo i zemną się stało. Lecz udało mi się uciec, bo nie miałem ciężkich kajdan na nogach, on już je dźwigał i był bardzo osłabiony. Na te słowa wszyscy w domu rzewnie się rozpłakali. Pomimo tego smutku Turowie mieli nadzieję, że syn ich powróci.

Ciężka była niewola żołnierzy polskich. W kajdanach moskiewskich bardzo cierpieli. Ani bielizny, ani odzienia, obuwie zniszczone; do tego głód dawał się uczuć dotkliwie. Częstokroć suchar spleśniały i woda, były dziennym posiłkiem. Prace przy kopaniu kanałów, lub szutrowanie dróg, rąbanie drew i inne tem podobne czynności, spełniali niewolnicy o głodzie. Wielu z naszych ginęło w tej niewoli, z różnych chorób, bo pomocy lekarskiej nie było. Dzicz, a nie ludzie, ci dozorcy, bez czucia, bez serca, na każdym kroku okazywali swoją nieograniczoną moc i władzę i często najniewinniej pastwili się nad swymi ofiarami. I nasz Adam podzielał ten smutny los z innymi, ale nie przeklinał, nie narzekał, bo cierpiał dla miłości Ojczyzny.

Jednego dnia wysłano Adama i innych kilku żołnierzy polskich wziętych do niewoli, na robotę do jednego

z wyższych oficerów moskiewskich. W ciężkich kajdanach musieli tam rąbać drwa i nosić do piwnicy. W południe gdy spożywali swe suchary, przybył do nich ów oficer i wypytywał się poufnie skąd są i w jaki sposób dostali się do niewoli. Po wysłuchaniu każdego z nich, rzekł: „Jestem Polakiem, losy zrządziły, że muszę służyć carowi“, będę się starał ulżyć wam a niepełnoletnich uwolnić. Ów oficer dotrzymał słowa i postarał się o uwolnienie nietylko Adama, ale jeszcze kilku innych żołnierzy w niewoli zostających.

Rok prawie upływał jak Adam był wzięty do niewoli. Tu dużo przecierpiał głodu i niewygód. Na twarzy pobladł, oczy mu się zapadły, usta posiniały, siły opadły, ledwie na nogach się trzymał. Jednego dnia dozorca więźniów otworzył ciężkie żelazne drzwi i wołał po nazwisku, tu w niewoli będących a między innymi i Adama. Jesteście wolni, rzecze: Kajdany mam z was zdjąć! Dostaniecie dziś wolne przepustki i macie wracać do domu. Na te słowa „wolność“, wszystkich twarze się wypogodziły. Każdy pragnął jak najprędzej opuścić mury więzienne. Żegnając się z innymi więźniami, ból serce ich ściskał, że tylko niektórzy a nie wszyscy zostali uwolnieni. — Po otrzymaniu przepustki, gdy już mieli być wolni od straży, przybliżył się do nich ów oficer Polak, i dał każdemu po kilka złp. na drogę. „Przyjmijcie i wracajcie do rodzin waszych!“

Uwolnienie nastąpiło w marcu, śniegi i lody topniały, wody zalewały łąki i doliny a droga była ciężką do przebycia, bo wówczas gościńców bitych nie było. Adam zwalczał wszelkie przeszkody, a szedł z bijącem sercem i pełnem radości w nadziei, że wnet stanie w domu rodzinnym. Po kilku dniach forsownej podróży uczuł, że go siły opuszczają i dalej iść pieszo niepodobieństwem było. Cóż to począć? zastanawiał się. Na podwodę nie miał pie-

nędzy. Z tych kilka złotych, które mu ów oficer Polak dał, wydał na naprawę butów i na życie, a mianowicie na chleb bo o ciepłym posiłku nie mógł marzyć. W tem tak krytycznem położeniu zdał się na wolę Boga. Zebrał ostatnie swe siły i ruszył dalej. Lecz zaledwie uszedł milę, osłabł i dalej iść nie mógł, więc usiał przy drodze, aby odpocząć i posilić się kawałkiem suchego chleba. Tak w tem miejscu przesiedział do wieczora. Ponieważ wiosenne noce były chłodne z przymrozkami, z trudnością zdążał do wsi, aby gdzie w ciepłej chacie przenocować. Do wsi było jeszcze dość daleko. Z dala widział dwór i liczne chatki wioski, a opodal lasek. Gdy tak idzie drogą, wiodącą do tej wioski, nadjechał wózek, na którym siedziało dwóch młodych ludzi, którzy przejechawszy koło podróżnego, nagle zatrzymali się. Jeden z nich przemówił: Kto jesteś? Skąd i dokąd zdążasz? Adam zdziwiony temi pytaniami, niechętnie odpowiadał, bo sądził, że to czynownicy rosyjscy. Ale, gdy ten nalegał, aby mu dał odpowiedź, Adam rzekł: „Wracam z niewoli moskiewskiej do rodzinnego domu. A mam przed sobą jeszcze bardzo daleką drogę, bo aż do Zbaraża, siły mię opuściły i dalej iść nie mogę. Chciałbym w tej wiosce przenocować i odpocząć kilka dni, abym nabrał sił do dalszej podróży". Młodzieniec ów porozumiał się z swym towarzyszem na wózku i rzekł: Siadaj z nami! podwieziemy cię, bo widzimy, żeś rzeczywiście osłabiony. I dalej z nim rozmawiali i wypytywali się o wszelkie szczegóły życia w niewoli. Gdy przyjechali do wioski Mierowa, szli wprost do dworu i zaprosili Adama, aby tu kilka dni wypoczął. On chętnie przyjął zaproszenie. Tu dano mu ciepły pokoik, ugoszczono przez kilka dni. Gdy Adam czuł się w sile do dalszej drogi, podziękował gospodarzowi domu za tyle doznanej grzeczności i gościnności. Ten rzekł: Dalej nie pójdziesz pieszo, ale do Beresteczka cię odwiozę, a stamtąd już nie tak daleko do Zbaraża i Szlachciniec. — Wnet zajechał

wózek przed dwór, właściciel tej wioski dał Adasiowi kilka złp. na dalszą drogę i pożegnał się z nim. — Z Beresteczka kilka dni szedł Adam do Zbaraża, a w samą Wielką sobotę wielkanocną, przybył do rodzinnego domu. Gdy szedł przez wieś, nikt go nie poznał, tak się zmienił. Przyszedłszy do domu, na wstępie pochwalił Boga, słowy: „Pochwalony Jezus Chrystus!“ Matka właśnie nakrywała stół białym obrusem na święcone, które miała ustawiać wraz z Zosią, niezwróciła uwagi, kto wszedł do izby. „Cóż nie poznajecie mię już“, wyrzekł Adam? — Ach! Adam! Adam, najdroższy syn mój! zawołała matka. On całował jej ręce i płakał z radości! Matka przycisnęła go do serca, ściskała i całowała długo.

Wojtuś i Zosia rzuciły mu się na szyję, ściskały i całowały wołając: nasz drogi Adaś! nasz drogi Adaś! W tem i ojciec, który oczyszczał drzewka w ogrodzie, przyszedł do izby, rzucił się Adamowi na szyję, długo nie mógł przemówić słowa, witał go z łzami w oczach i rzekł: „Synu drogi! Czyniliśmy wszelkie starania, aby uwolnić się od najezdców. Wiele ponieśliśmy ofiar dla ratowania matki naszej Ojczyzny, lecz wszelkie usiłowania nie osiągnęły pożądanego skutku. Łatwo stracić, lecz trudno odzyskać!

W domu u Turów od tej chwili powstała wielka radość i wesele. Matka zapomniała o przygotowaniu stołu na święcone, tylko zajęła się Adamem. Ale on tak był umęczony tylodniową podróżą, iż nie mógł długo odpowiadać na rozliczne pytania.

Powrót Adama z niewoli moskiewskiej zainteresował nietylko mieszkańców tej wioski, ale i sąsiednich, bo wiele było młodzieży w niewoli. Matki i ojcowie w czasie świąt odwiedzali Turów i wypytywali się Adama, czy nie wie, co się z ich synami stało? — Właściciel Szlachciniec, dowiedziawszy się też o powrocie Adama, zaprosił go do siebie i wypytywał się szczegółowo o przebiegu bitew

w których Adam brał czynny udział. Przez kilka tygodni Adam odpoczywał, a gdy już zupełnie czuł się w sile, wziął się do pracy i pomagał ojcu. Znowu w domu zawitał dawny spokój, wszyscy wspólnie pracowali i grosz oszczędzali. Bo co przedtem mieli ze swych oszczędności, wydali na dar narodowy w czasie wojny. — Ojciec mawiał często. „Każdy powinien oszczędzać i odkładać pewną część dochodu swego na dar narodowy i na czarną godzinę“.

Adam wspólnie z ojcem wyrabiał bednarskie rzeczy, sprzedawał je na jarmarkach i targach. Rozmnożył też liczną pasiekę i piękny sad owocowy, z czego miał wielkie zyski. Za gotowy grosz kupował pola i łąki i w ten sposób zapewnił sobie spokój na starsze lata.

Zosia i Wojtuś w szkole.

Po powrocie Adama z niewoli, postanowili Turowie posyłać swe dzieci do szkoły. Ponieważ dawniej nie było tyle szkół, ile jest dzisiaj, osobliwie wiejskich, więc dali je na stancyę do swej krewnej w Zbarażu. — Matka przygotowała całą wyprawę dla dzieci i w oznaczonym dniu pojechała z niemi do zapisu. Wojtusia zapisała do szkoły, w której OO. Bernardyni uczyli a Zosię do szkoły żeńskiej. W pierwszych dniach dzieciom było bardzo smutno i żal za domem, ale później oswoiły się z tą myślą, że tak być musi, uczyły się pilnie i zachowywały wzorowo. Przed nauką szkolną wstępowały na chwilkę do kościoła, aby pomodlić się do Boga i uprosić błogosławieństwa w nauce. Wojtuś w niedziele i święta służył do mszy św., a po kościele szedł do swego profesora, który mu dawał książeczki do czytania.

Dzieci robiły postępy w nauce, zachowywały się zawsze przykładnie, to też nauczyciele często stawiali je za wzór innym. Tak upłynęło pierwsze półrocze szkolne, a w czasie egzaminu jaki podówczas się odbywał, to jest

z każdego przedmiotu dzieci były pytane, a to miało wpływ na rozwój roztropności i uwagi i pobudki do pilności. Oboje dzieci otrzymały książeczki jako nagrodę pilności, co wielką sprawiło radość im i ich rodzicom. Rodzice często je odwiedzali, a gdy bylo kilka dni wolnych i w czasie wielkich wakacyi zawsze dzieci przyjeżdżały do domu. Tu miały swoje przyjemności i zabawy; wszędzie ich było pełno i w ogródku i na łące, w polu i w lesie, ale nigdy nie zrobiły nikomu żadnej przykrości ani szkody. W ogrodzie miały swoje grządeczki: Zosia pielęgnowała na nich kwiaty, a Wojtuś drzewka owocowe, i cieszyły się tem, że wszystko dobrze im się rozwija i rośnie. Wesołe, swobodne i zdrowe, każde starało się być pomocnem rodzicom. Zosia pomagała matce w kuchni i w ogrodzie, przyswajała sobie wszelką pracę koło urządzenia zapasu w spiżarni, przechowywania jarzyn i nabiału. Wojtuś wyrabiał ładne klatki‘ koszyczki i drabinki do kwiatów wazonkowych, wszystko spieniężał, i cieszył się, że sam coś zarobić może. Próżniactwem brzydziły się dzieci, i każde miało czas tak oznaczony i rozdzielony i do zabawy i na przechadzkę, do zajęć w ogrodzie, iż nigdy im nie przykrzyło się. Zawsze było im wesoło, zawsze czoła pogodne, bo pamiętały naukę, jaką im w szkole podawano i powtarzano: „Praca jest majem życia !“

To znaczy, że kto pracuje, temu jest wesoło: jak ptaszkom w gaju. Kto zaś pracować nie chce, tego szatan łechce!

Czas szkolny przy pilności i pracy miło upłynął. W czwartym roku nauki, w czasie głównego popisu, jeden z uczniów czwartej (dawniej trzeciej) klasy, pierwsza czyli elementarna nie wchodziła w rachubę, miewał pożegnalną mowę. Ponieważ Wojtuś przez wszystkie klasy był premiantem, to znaczy celującym uczniem, ksiądz Dyrektor zaszczycił go tem przywilejem żegnania nauczycieli (profesorów) i młodszych uczniów. — Na wielki popis czyli

egzamin przybywało wiele publiczności, aby posłuchać, co dzieci umią, jak odpowiadają na podawane pytania z każdego przedmiotu. — Obecni na egzaminie byli: księża, obywatele, urzędnicy, prezes miasta i rodzice, których dzieci uczęszczały do szkoły. Rodzice Zosi i Wojtusia również przybyli na ten egzamin, bo to już był ostatni rok nauki ich dzieci.

Po ukończonym egzaminie Wojtuś miał pożegnalną mowę. Pierwszy raz występował w tak uroczystej chwili, i wśród mowy, przy słowach: „Żegnam kochanych panów nauczycieli, naszych wychowawców, naszych dobrodziejów“, rozpłakał się. Serce jego było do nich przywiązane, a wiedział, że to jest chwila rozstania się z nimi. Rodzice Wojtusia i cała publiczność, również odczuli tę chwilę rzewną ucznia, przywiązanego do swych nauczycieli. — Dziękował w tej mowie rodzicom, za ich starania i troski, dziękował dobrodziejom, starającym się o utrzymywanie tej szkoły.

Po ogłoszeniu wyniku, czyli po odczytaniu klasyfikacyi Wojtuś otrzymał piękną książkę do czytania i świadectwo szkolne z postępem bardzo dobrym. Podobnież i Zosia była celującą uczennicą i otrzymała nagrodę pilności. Rodzice poszli z dziećmi podziękować panom nauczycie-cielom za troskliwą opiekę i naukę udzielaną ich dzieciom. Ksiądz Dyrektor przy pożegnaniu się z Wojtusiem, dał mu medalik srebrny, mówiąc: „Ten medalik niech ci zawsze przypomina to, coś w mowie pożegnalnej wypowiedział!“ „To ziarno mądrości, które jest zasiane w sercach naszych, będziemy chronili od zepsucia; będziemy postępowali drogą cnoty, drogą przykazań Boskich“. Tak postępuj! A Bóg błogosławić ci będzie.

Po pożegnaniu powrócili rodzice z dziećmi do domu na wakacye. W domu była wielka radość, rodzice całowali swe dzieci i cieszyli się, że i w naukach i zachowa-

niu się, przez cały czas szkolny postępowali przykładnie. Po egzaminie dzieci używały swobody i wypoczynku, bawiły się i biegały, zbierały w lesie poziomki i grzyby, w ogrodzie pielęgnowały drzewka i kwiaty.

Wojtuś w terminie.

Wakacye prędko i prawie niespostrzeżenie przeminęły, trzeba było pomyśleć, co dalej Wojtuś będzie robił. Wprawdzie miał talenta i chęć do nauki, ale rodzice nie byli w stanie posyłać go do szkół średnich, czyli do gimnazyum, postanowili oddać go do terminu. Ojciec miał znajomego stolarza w Tarnopolu, u niego zamyślał umieścić Wojtusia. Pojechał więc z towarami bednarskimi do Tarnopola i przy tej sposobności odwiedził Krzemińskiego, Tak się ten stolarz nazywał i zawarł z nim umowę względem Wojtusia. Gdy powrócił do domu, opowiedział o wszelkich warunkach, jakie zawarł z Krzemińskim. Matka zgodziła się i zaczęła robić wyprawę dla Wojtusia: Sprawiła mu ubranie do codziennego użytku, a drugie ładniejsze od święta, dwie pary butów, bieliznę i pościel. Gdy już wszystko było gotowe, postanowiła sama odwieźć go do Tarnopola.

Przed wyjazdem rodzice dali mu naukę, aby był cierpliwym, posłusznym i ugrzecznionym dla wszystkich. Aby postępował drogą prawą, drogą przykazań Boskich! Wojtuś przyrzekł stosować się do danej nauki i z łzami w oczach, żegnał się ze wszystkiemi w domu.

Tarnopol podobał się mu, bo to większe miasto niż Zbaraż. Kościół OO. Jezuitów wspaniały, trzy małe ogródki publiczne, szerokie ulice, a po obu stronach piękne kamienice. Staw ogromny, przez który przepływa rzeka Seret.

Na głos dzwonka szkolnego spieszyło dużo młodzieży do szkoły, a gdy między innymi zobaczył i wąsatego mło-

dzieńca z książkami, spieszącego do szkoły, pomyślał sobie w duchu: Cóż to ma znaczyć, taki wąsaty a jeszcze do szkoły chodzi!

Tak, dawniej w gimnazyum dojrzała już młodzież pod wąsem, zasiadała w ławkach szkolnych, słuchała nauczycieli i uczyła się.

Wojtuś w pierwszych dniach terminu był używany przeważnie na usługi czeladzi, co go niezmiernie gniewało. Ale taki był zwyczaj wszędzie przyjęty. Karność i posłuszeństwo w terminie, to główne zasady. Traktowanie ze strony czeladzi nie podobało się Wojtusiowi, i po kilku tygodniach chciał wrócić do domu. Lecz gdy nad tem się zastanawiał, przyszło mu na myśl przyrzeczenie dane rodzicom, że wszystko cierpliwie znosić będzie.

Po przełamaniu pierwszych trudności w terminie, pan Krzemiński, postawił go obok siebie w warstacie, zaznajamiał z wszystkiemi przyborami stolarskiemi i kazał mu wykonać pierwsze roboty. Wojtuś był pojętnym, brał sobie wszystko do głowy, i po kilku miesiącach praktyki tyle umiał, że mógł stanąć na równi w pracy ze starszymi kilkuletnimi terminatorami. Ten postęp w nauce zrodził zazdrość u czeladzi, i starali się dokuczać mu na każdym kroku. Jeden z czeladzi, coś upatrzył sobie do niego, obrzucał go niewłaściwymi wyrazy, a nawet raz odważył się znieważyć go czynnie. Wojtuś zalał się łzami i rzekł: „Panie, przebacz mi, jeślim cię czemkolwiek obraził, lub nie zrozumiał twego polecenia! Przebacz, przebacz panie!“ Tymi słowy rozbroił złego człowieka. Od tej chwili czeladnik ten nigdy mu nie dokuczał, ale i drugich upominał, by mu żadnej przykrości nie wyrządzali.

W dnie powszednie Wojtuś wstawał wcześniej od innych, a ubrawszy się, codziennie klęcząco rano i wieczór odmawiał pacierz. Ten przykład wpłynął i na innych terminatorów, a nawet i na czeladź, i oni również odmawiali

modlitwę. W niedzielę i święta uczęszczał na mszę i na kazania. Wiedział, że słuchanie kazań, to balsam dla duszy, to pokarm, który dodaje sił do postępowania drogą cnoty i drogą przykazań Boskich. Unikał złego towarzystwa, a najmilszą rozrywką było czytanie książki i przechadzka. Unikał wszystkiego, co mogłoby splamić duszę, co mogłoby zasmucić jego rodziców.

Po roku praktyki, dawał mu pan Krzemiński do wykonania takie roboty, jak czeladnikowi. On zawsze wywiązywał się jak najlepiej i w oznaczonym czasie je oddawał, co znowu obudziło w czeladzi nienawiść ku niemu, i chcieli aby on porzucił naukę stolarstwa. Pewnego razu oskarżyli go przed majstrem, jakoby on miał z jego materyału nieprawnym sposobem, na swoję korzyść, robić różne sprzęty. Majster w pierwszej chwili uwierzył oszczercom, lecz wkrótce przekonał się o niewinności Wojtusia. Wiedział co jest powodem, że oni go oskarżają, i do czego usiłują doprowadzić. — Gdy pewnego dnia jeden z czeladzi rzucił się na Wojtusia w obecności Krzemińskiego, to go tak rozgniewało, że wypowiedział miejsce owemu czeladnikowi. Lecz Wojtuś zalał się łzami i prosił, by go nie oddalał, aby przez niego nie tracił miejsca i roboty.

Prześladowany wstawia się za swoim prześladowcą pomyślał w duchu pan Krzemieński i rzekł: „Wojtusiu! Masz szlachetne serce, nic nie mogę ci odmówić, lecz nie wiem, czy temu czeladnikowi będzie przyjemnie tu nadal pozostać, bo ty, swoją szlachetnością, swem wstawieniem się, upokorzyłeś go“.

Czeladnik ów podał rękę Wojtusiowi na dowód przeproszenia go, pozostał dalej w pracowni i żył z nim w zgodzie, z czego i Krzemieński był zadowolony.

Przygoda Wojtusia.

Państwo Krzemińscy co roku pozwalali Wojtusiowi na święta Bożego Narodzenia pójść do domu. W trzecim roku

praktyki, wolno mu było po godzinach obowiązkowej pracy, ze swego materyału na swój dochód coś robić. To też robił linje dla uczniów, ramki do obrazów i inne drobne rzeczy, i z tego zarobku miał oszczędzonych kilka złotych polskich. Jakże cieszył się, gdy pomyślał o świętach Bożego Narodzenia, i o podarkach jakie ma kupić rodzicom i rodzeństwu! Kilka dni przed świętami otrzymał pozwolenie w dzień przed Wilią pójść do domu. Uradowany Wojtuś zapakował kupione podarki do torby skórzanej, pożegnał się z państwem i czeladzią, wyruszył w drogę w tem mniemaniu, że pod wieczór stanie w domu rodzicielskim. Lecz zaledwie uszedł kawał drogi, nastała śniegowica, najprzód mała, poźniej większa, aż nareszcie ciemna zadymka.

On na to nie zważał, brnął w śniegu i szedł dalej. Nagle powstał wiatr północny, ostry i zimny, śnieg bił w oczy i smalił po twarzy dotkliwie. On uczuł umęczenie, ale szedł coraz dalej, pomimo, że już śladu drogi nie było. „Na Podolu, gdy nastanie kurzawa śnieżna, to bardzo w krókim czasie wszystkie drogi zasypane i trudno zorjentować się; naraz powstaje jedna wielka biała płaszczyzna“. Prawie zupełnie ciemno było, gdy zauważał, że zbłądził z drogi. Na jednem miejscu stać nie mógł, więc z trudem szedł, ale nie wiedział w jakim kierunku. W tem nagle zapadł się w jarze pełnym śniegu, i nie mógł się ztamtąd wygramolić. „Na równinach podolskich są liczne jary, czyli wielkie i obszerne doły, ciągnące się czasem i na milę czyli siedm kilometrów“.

Przerażony, poznał, że grozi mu niebezpieczeństwo. Mogą go wilki rozszarpać, których w tym czasie na Podolu nie trudno napotkać, lub zamarznie na śmierć. Tak rozmyślał, któraby śmierć była znośniejszą! Być rozszarpanym przez wilki, to straszne; zamarzać, też nieprzyjemnie! Zdał się więc na wolę Boską! Aby jednak nie usnąć, zaczął wołać o ratunek, co sił starczyło, lecz w czy-

stem polu, któż mógł słyszeć głosu jego? Wiatr ze śniegawicą! Ale te ratunku nie przyniosą. Gdy mu brakło sił do wołania o ratunek, zaczął się modlić: „Ojcze nasz, Zdrowaś i Wierzę“. Po odmówieniu tych modlitw przypomniał sobie, jak dziadek jego często opowiadał, iż w czasie wojny i we wszystkich złych przygodach, odmawiał a czasem i spiewał hymn: „Kto się w opiekę odda Panu swemu“, i po odmówieniu tegoż, zawsze doznawał opieki i pomocy Boskiej. On też chciał śpiewać w jarze, ale nie mógł, bo mu sił brakło, więc odmawiał po kilka razy ów hymn. Wtem uczuł, że go sen obejmuje w swe spokojne skrzydła. A bał się zasnąć i długo z sobą walczył: Połykał śnieg, nacierał twarz śniegiem, lecz to nie wiele pomagało. Zaczął znowu wołać o ratunek, ale jak przedtem, tak i teraz bezskutecznie!

Gdy tak rozmyślał o swem przykrem położeniu, zdawało mu się, że słyszy głos dzwonka. Zaparł w sobie oddech i nadsłuchuje, lecz wszelka nadzieja daremna! Znowu cicho i głucho, tylko wiatr od czasu do czasu z strasznym hukiem przeleci przez jary. Po pewnym czasie, znów usłyszał głos dzwonka i to wyraźniej niż pierwszym razem. Słucha, słyszy głos, ale gdzieś bardzo daleko i nie wie w której stronie. Zaczął się znów modlić i odmówił hymn: „Kto się w opiekę odda Panu swemu“. Po modlitwie słyszy już wyraźnie dzwonek. Wstąpiła w niego nadzieja ocalenia. Teraz już poznał, że ktoś jedzie i zbliża się w stronę jaru.

W tem nagle usłyszał głos ludzki i przekleństwo: „Aby cię wilki rozszarpały! Ty niezdaro! Ty ślepa sowo! Zajechałeś w jar! i cóż teraz będzie?“

W tem Wojtuś z głębokości jaru zaczął wołać: Ratujcie! ratujcie mię nieszczęśliwego! — „Kto tam taki? odezwał się gruby głos. Czy to bies jaki, czy zmora?!“ — Wojtuś znowu wołał bezustannie: Dla Boga, ratujcie mię, bo

zginę! Nie zostawiajcie mię na pastwę losu! — A kiedy wzywa Boga, to nie bies, ani zmora, to rzeczywiście jakiś nieszczęśliwy, należy go ratować. — Na saniach powracał ekonom z Tarnopola do poblizkiej wioski koło Zbaraża położonej, i również wskutek zamieci zabłądził i wjechał w jar, w którym już Wojtuś walczył od kilku godzin ze śmiercią. Otóż ten ekonom kazał parobkowi rozpalić trochę słomy, którą miał na saniach i po długich trudach wyciągnął najprzód Wojtusia, a potem swe sanie z przeklętego jaru.

Wojuś westchnął głęboko z radości i dziękował za ocalenie. A gdy ów ekonom dowiedział się, kto on jest i skąd pochodzi, rzekł: „Dziś już nie pójdziesz dalej, musisz u mnie przenocować, a jutro odeszlę cię do domu“. Wojtuś podziękował mu za tę opiekę, utulił się na saniach i usnął ze znużenia. Gdy przyjechali na folwark, już była północ; kur witał pianiem dzień nowy. Tu Wojtuś się posilił ciepłą kolacyą, ogrzał, a potem udał się do izby i zasnął, tak mocno, że na drugi dzień dopiero przed południem obudził się. Saneczki zajechały. Wojtuś podziękował jeszcze raz za wyratowanie go od niechybnej śmierci i odjechał do domu.

Z wielkiem zaniepokojeniem oczekiwali rodzice przybycia Wojtusia, bo kilka dni przedtem powiadomił ich, że dzień przed Wilią przyjedzie do domu. Cały dzień, do późna wieczora wyglądała matka, czy on już nadchodzi, ale jak go nie widać, tak nie widać. W sam dzień Wilji do południa nie było go, co wszystkich w domu zaniepokoiło, bo wiedzieli, że z pewnością miał przybyć do nich na święta. Już było z południa i znów powstała śniegawica, gdy w tem usłyszała Zosia dzwonek; patrzy przez okno, aż tu sanie zatrzymały się koło ich chaty, a z nich wysiadł Wojtuś. Wielka radość powstała w domu, on witał się ze wszystkimi, przepraszał że się spóźnił, lecz nie wspo-

mniał o swej przygodzie, bo nie chciał tej uroczystej chwili zamącać smutkiem i trwogą. Rozpakował swoją torbę podróżną i wyciągnął z niej podarki: O wszystkich pamiętał, wszystkim dał choć małą dorobnostkę na gwiazdkę. Matka z Zosią przygotowywały nakrycia do stołu, Adam przyniósł wiązkę zielonego siana pod obrus. „Na Podolu jest zwyczaj u ludu posłać siano pod obrus, na pamiątkę, że Pan Jezus narodził się na sianku“. Ojciec ustawił w kącie piękny snop pszeniczny, zwany królem, który przypomina obfitość łask niebios, jakie spłynęły na lud po przyjściu Pana Jezusa na ziemię. I tak wszyscy się krzątali, aż do chwili ukazania pierwszej gwiazdy na niebie. Staropolskim zwyczajem lud w dniu Wilji pości ściśle, cały dzień nie bierze żadnego posiłku a nawet ani wody, a mężczyźni nawet nie palą. A głód niejednemu dokucza, więc wszyscy wyglądają pierwszej gwiazdy na niebie, bo już o tej porze zaczyna się uroczysta Wilja. Wszyscy domownicy padają na kolana, odmawiają wieczorną modlitwę. Po modlitwie wspominają krewnych i znajomych z którymi pragnęliby łamać się opłatkiem; wspominają też drogie im osoby, których Bóg powołał do siebie. Potem ojciec rodziny bierze opłatek z miodem okraszony, który ma przypominać słodycz życia w chrześcijaństwie i łamie się nim naprzód z żoną, dziećmi i domownikami. Potem kolejno wszyscy łamią się opłatkiem i składają sobie nawzajem szczere życzenia! „To łamanie się opłatkiem jest symbolem, czyli znakiem pojednania się nieba z ziemią“. Po tej uroczystej chwili, wszyscy zasiadają do suto podanej wieczerzy, Wilją zwanej! — I u Turów wszyscy zasiedli razem do stołu, spożywając dary, a po Wilji kolendowali i opowiadali różne przygody życia. Tu zaczął Wojtuś opowiadać powód opóźnienia się do domu i gdyby nie ekonom Jastrzębski, który również zabłądził i z sańmi wywrócił się w jarze, byłby dziś jeszcze kolendował z wilkami. Wszyscy z uwagą słuchali jego opowiadania i u-

znali, że to było cudem. Ojciec dodał: W tym jarze było już kilka wypadków śmierci, bo jednego roku kilka osób wraz z końmi wpadło w ten jar i pod śniegiem zginęło. Na podziękowanie Bogu za cudowne ocalenie Wojusia, postanowił zaraz na wiosnę, gdy śniegi stopnieją, postawić krzyż kamienny przy drodze blisko jaru.

Po świętach Wojtuś powrócił do pracy w dniu oznaczonym. Opowiedział też państwu Krzemińskim o swej przygodzie w jarze. Opowiadanie jego wywarło na nich wielkie wrażenie i również uznali, że cudem został ocalony od śmierci. To też tę przygodę pamiętał on w całem życiu i nigdy nie zapomniał o swoim wybawcy. Ostatni rok terminu prędko upłynął i nadszedł dzień wyzwolin.

Wyzwoliny Wojtusia.

Ciężkie i cierpkie są lata terminatora, i każdy z nich oczekuje chwili wyzwolin. Poznaliśmy, że Wojtuś pomimo swego wzorowego prowadzenia się, musiał niejednokrotnie znosić wiele od czeladzi. Jednak przy mocnem postanowieniu wytrwał i ukończył praktykę trzyletnią. Zwyczajem, dawnym wszystkich terminatorów wyzwalano w dniu św. Michała, to jest dnia 29 września, to i nasz Wojtuś w tym czasie miał się wyswolić. Krzemiński zaprosił rodziców do siebie, aby byli świadkami tego aktu.

Wyzwoliny odbyły się w cechu stolarskim. Wojtusia uznano za zdolnego stolarza, któremu można poruczyć wszelką pracę fachową i wydano mu na to świadectwo, z wykazem wzorowego zachowania się przez cały czas terminu, oraz poleceniem do zaufania mu wszelkiej roboty stolarskiej. Cechmistrz i inni majstrowie obecni przy tym akcie, podali rękę Wojtusiowi na znak, że równy im jest w pracy, i może razem z nimi być w ich towarzystwie i zabawie, czego przedtem jako terminatorowi nie było wolno. Państwo Krzemińscy zaprosili rodziców i Wojusia do siebie na obiad i wszyscy razem zasiedli przy jednym stole.

Ojciec dał Wojtusiowi zegarek, a matka piękną książeczkę do modlenia. Po tym akcie Wojtuś poszedł do spowiedzi i komunii św., i podziękował Bogu za doznaną opiekę przez czas terminu.

Podróż do Krakowa.

Po wyzwolinach Wojtuś pracował przez kika miesięcy jako czelanik, za wynagrodzeniem. Na wiosnę puścił się w drogę do Krakowa, aby tam lepiej wydoskonalić się w robocie stolarskiej i nauczyć się cokolwiek tokarstwa, które niezbędnie jest potrzebne każdemu stolarzowi.

Wojtuś zaopatrzył się w potrzebne dokumenty i książeczkę z cechu, pieszo puścił się w drogę, zatrzymując się w każdem mieście króciej lub dłużej. Wstępował do gospody i pytał o robotę. Prawie wszędzie chętnie przyjmywano go do pracowni. We Lwowie był kilka miesięcy, tu zarobił kilkadziesiąt złp. i odesłał je rodzicom, aby kupili kawał gruntu. Przed Wielkanocą przybył do Krakowa o którym tyle cudów słyszał. Gdy na Podgórzu zobaczył Wisłę, a na niej galary z towarami, nie mógł się tym widokiem nasycić. A cóż to będzie w samym Krakowie, skoro tu na moście taki ruch, tyle ludzi tam i nazad przechodzących! Na przedmieściu Kaźmierzu, zobaczył jakby w Jeruzalem tyle żydów. Jedni wołali, inni zapraszali, aby co kupił. „Ponie, Ponie! może pon co kupi! Może krakuskę, może kirysę z kółeckami, buty z podkówkami?“ Ale on nie myślał o kupnie, lecz szedł dalej przez Stradom, przedmieście koło Wawelu. Tu zapytał się, gdzie jest gospoda stolarska, ale nikt mu nie mógł wskazać, tylko kazano mu iść dalej, bo w tej dzielnicy miasta nie ma żadnej gospody. W tem przypomniał sobie, że w Bochni, gdzie kilka dni robił u jednego stolarza, powiedzieli mu, że w Krakowie jest gospoda stolarska koło Floryańskiej bramy. Szedł więc w tym kierunku przez rynek, i tu mu już wska-

zano. Gdy przyszedł do gospody, przedłożył gospodarzowi swe papiery i zaraz na wstępie prosił o robotę.

Gospodarz zapewnił, że dostanie robotę i to na czas dłuższy, ale musi poprzednio przekonać się o jego zdolności. Po krótkim wypoczynku wziął się Wojtuś do roboty, którą dano mu na próbę i wykonał ją bardzo dobrze i na czas oznaczony, czem zyskał sobie zupełne zaufanie i przyrzeczenie, że jako stały robotnik będzie mógł mieć miejsce.

Święta Wielkanocne.

W większych pracowniach już w Wielką sobotę od południa ustaje robota i wszyscy spieszą do swych rodzin. Wojtuś miał blisko gospody wpólne mieszkanie z pewnym czeladnikiem z Warszawy, oba byli jakby rodzeni bracia, spokojni, zgodliwi i pracowici. Razem zwiedzali osobliwości Krakowa, razem robili wycieczki w okolice miasta. — W sobotę popołudniu Wojtuś napisał list obszerny do swych rodziców, z życzeniem świąt, i podał dokładny adres, aby wiedzieli, gdzie wysłać odpowiedź. Pierwszy raz usłyszał Wojtuś głos dzwonu Zygmunta, w czasie rezurekcyi. W tej chwili przeniósł się myślami w strony rodzinne. I tam dzwonią, i tam lud spieszy na rezurekcyę. Tam moi kochani rodzice, tam moje rodzeństwo!

Po nabożeństwie powrócił do mieszkania i tu znowu zatęsknił za domem rodzinnym. Lecz pomyślał sobie. Kraków, to stolica Polski. A Polska, to Ojczyzna nasza! To matka nasza! A przy matce wszędzie dobrze, byle w ojczystym kraju!

W niedzielę rano po nabożeństwie zeszło się do gospody wiele czeladzi i majstrów na wspólne święcone, gdzie też Wojtuś ze swym towarzyszem był obecnym. Tu zabawił się z innymi i ten dzień przy spiewach i opowiadaniach mile spędził.

W poniedziałek wielkanocny poszedł na Zwierzyniec,

gdzie odbywa się Emaus i oblewanie wodą, na pamiątkę, że w tym dniu dawniej nowonawróconych chrzczono. Na Zwierzyńcu jest wielki Klasztor, a opodal kopiec Tadeusza Kościuszki, i w tym dniu zbiera się młodzież i zwiedza ten wielki pomnik bohatera z pod Racławic.

We wtorek wielkanocny, za Krakowem ku Podgórzu na kopcu Krakusa, jest uroczystość narodowa „Rękawka“, na pamiątkę usypania mogiły rękawami księciu Krakusowi, założycielowi Krakowa. Wojtuś niezaniedbał żadnej sposobności brania czynnego udziału w obchodach narodowych i zwiedzania miejsc pamiątkowych. — Po świętach stanął do pracy w oznaczonej godzinie i cieszył się, że będzie mógł pracować, a przy tem i zwiedzić wszystkie pamiątki Krakowa i okolicy. — Kraków to wielkie miasto, jest sposobność do zabawy i do straty zarobionego grosza. Różne towarzystwa namawiały Wojtusia do rozrywek i zabawy ale on unikał. On lubił zabawić się w przyzwoitem towarzystwie; używania nadmiarę napojów, lub gry w karty, unikał, do teatru czasem wybrał się, gdy przedstawiano jakąś sztukę narodową. Gdy raz był na przedstawieniu „Kościuszko pod Racławicami“, tak się tem przejął, że odtąd rozmyślał, jak by to mógł służyć Ojczyźnie. Ani opowiadanie, ani czytanie książeczek o historyi ojczystej, nie przedstawi się tak żywo i nie utkwi głęboko w pamięci, jak przedstawienie w teatrze. Otóż od tego czasu i sam uczęszczał i innych nakłaniał na przedstawienia patryotyczne. Wielu z czeladzi nawet nie przypuszczało, że to taka przyjemność na przedstawieniu w teatrze. Zamiast szukać rozrywki przy szklance lub kieliszku, albo przy kartach, uczęszczali na przedstawienia. Gdy nieraz który z kolegów napierał się, aby mu Wojtuś co zafundował, to zamiast napojów, fundował bilet do teatru.

I to potem tak się to rozpowszechniło między młodzieżą rękodzielniczą, że prawie raz na miesiąc każdy spieszył do teatru.

Wycieczka na Bielany.

W czasie Zielonych Świąt, Kraków urządza wycieczkę na Bielany. Tam w tej wiosce nad Wisłą, na południe, o milę oddalonej od Krakowa, wznosi się w lesie na skalistej górze, kościół OO. Kamedułów, którzy prowadzą życie pustelnicze. W tym dniu można zwiedzać kościół i pustelnię. — Pustelnicy ci prowadzą bardzo ostre życie. W lesie obwiedzionym murami, każdy z osobna ma swój domek. Przed domkiem jest mały ogródek kwiatowy, który każdy sam uprawia. Wstają o północy na wspólną modlitwę, po modlitwie idą do podziemnych katakomb czyli grobów na medytacye, czyli rozmyślania. Cały dzień oddają się modlitwom i pracy, sami wszystko załatwiają, co im do utrzymania życia codziennego jest niezbędnem. Mięsa nigdy nie jadają, a i postnych pokarmów używają bardzo skromnie.

Z sobą nie rozmawiają, tylko gdy jeden koło drugiego przechodzi, cała rozmowa kończy się jednem zdaniem: „Memento mori“. To znaczy: „Pamiętaj na śmierć!“ Nasz Wojtuś pospieszył tam wraz z innymi, aby zobaczyć pustelnię i pustelnika, bo w swem życiu ich jeszcze nie widział.

Zbliżając się do Bielan, zdaleka widział wysokie wieże kościoła i usłyszał głos dzwonów, wzywających wiernych na doroczne nabożeństwo. Pospieszał więc, aby się nie spóźnić, bo chciał być na nabożeństwie i zwiedzić pustelnię.

U stóp lesistej góry zobaczył wielki zgiełk, jakby na jarmarku pełno straganów, liczne namioty i budy. Tu sprzedają pamiątki dewocyjne: obrazki, medaliki, koronki, książeczki i inne. Tam dalej pierniki, ciasteczka, różne przekąski. Ten zaprasza, ów nawołuje, aby co kupić; żebracy donośnym głosem proszą o jałmużnę.

Ledwo przecisnął się Wojtuś przez szeregi nawołu-

jących, a wspinając się po stokach góry, wszedł do świątyni Pańskiej schludnej i majestatycznej! Tu cisza! Ksiądz odprawiał mszę cichą, bo tu organów nie ma; wierni klęcząc, wznosili swe modły przed tron Najwyższego. Ten spokój, niczem niezamącony, ta cisza właściwa pustelni, wielkie sprawia wrażenie na duszy zwiedzających ten kościół.

Wojtuś pomyślał: Jaka to różnica życia! U stóp góry, zgiełk, gwar, nawoływania, ruch! A tu na górze, tu w świątyni, poważna cisza, majestatycznie podnosząca ducha i serca do Pana i Stwórcy. Tu tak miło, tak błogo jak w niebie!

Po skończonem nabożeństwie ludzie zwiedzali pustelnie i mieszkania pustelników. Jeden z Ojców Kamedułów oprowadzał gości i dawał objaśnienia. Zaprowadził też do wielkiego ogrodu, w którym jest galeryjka kamienna, skąd widać cały Kraków. Wojtuś podziwiał to poświęcenie się ludzi, którzy nie dość, że całe życie mięsa nie jadają, ale co więcej, z sobą nie rozmawiają.

Wianki Świętojańskie.

Wszelkie pamiątki i uroczystości ludowe były Wojtusiowi drogie. Gdy dowiedział się, że w wigilią Ś-go Jana Chrzciciela w dniu 23 czerwca, odbędzie się puszczanie wianków na Wiśle, wcześnie po robocie, ubrał się od święta i z towarzyszem swoim z Warszawy, poszli na tę uroczystość, która się odbywała w pobliżu góry Wawelu, na przedmieściu „Rybaki". Po obu brzegach Wisły, liczna młodzież zebrana, oczekiwała tej chwili uroczystej puszczania wianków. Widział, jak w zieleń ustrojone galary przybijały do brzegu, na których panie i panowie zajmywali swe miejsca, widział pojedyncze łodzie, na których młodzież przeważnie akademicka popisywała się w wiosłowaniu. W tem muzyka na galerach zagrała „Krakowiaka", i przy oświetleniu sztucznych ogni puszczano wieńce, również

w oświetleniu, na deseczkach szerokich umocowane z różnemi napisami i biletami. Jedni puszczają te wianki na nurty Wisły, a drudzy łodziami pędzą za nimi i chwytają je. Często się zdarza, iż niewprawny w wiosłowaniu, zamiast zdobycia wieńca, skąpie się w Wiśle. a tę przygodę nazywają chrztem Święto-Jańskim. Młodzież akademicka bierze czynny udział w tych wyścigach za wiankami. Na galarach oświetlonych rozbrzmiewa głos pieśni patryotycznych, a lud po obu stronach brzegów wtóruje z całego gardła. Po odspiewaniu pieśni, ognie gasną i wszyscy wracają do domu. Tryumfatorowie schwytanych wieńców urządzają narodowe tańce i bawią się ochoczo.

Pielgrzymka do Częstochowy.

W Częstochowie, mieście o dwadzieścia mil odalonem od Krakowa, jest wspaniały kościół a w nim kaplica z obrazem Matki Boskiej cudami słynącej. Przy kościele jest klasztor, pamiętny obroną przez księdza Augustyna Kordeckiego, w czasie najazdu Szwedów na nasz kraj. W lipcu, gdy zbierała się pielgrzymka do tego cudownego miejsca, Wojtuś się też przyłączył. Pielgrzymi idą tam z procesyą, całą drogę śpiewają nabożne pieśni i modlą się; niektórzy przez całą drogę żyją tylko o chlebie i wodzie. Tam przed cudownym obrazem błagają o zdrowie i powodzenie dla rodzin i opiekę nad naszą ojczyzną. Po odbytych kilkodniowych nabożeństwach i modłach, pielgrzymi zwiedzali bogaty skarbiec kościelny, który Szwedzi w czasie najazdu za panowania króla Jana Kazimierza postanowili złupić a kościół zniszczyć i spalić, ale jak już nadmieniłem, ksiądz Kordecki ocalił i skarbiec i kościół. Wojtuś pamiętny na swe ocalenie z jaru, kupił piękny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej i posłał stamtąd owemu ekonomowi, który go wyratował. Zwiedził też i Kalwaryę wielką koło Krakowa. Co miesiąca pisywał listy do rodziców. Opisywał pielgrzymki jakie odbywał do miejsc

świętych, posyłał osobne pakuneczki z dewacyami a często i kilka złp. ze swych oszczędności.

Zwiedzenie kopalni soli w Wieliczce.

Dwie mile od Krakowa jest miasto Wieliczka, w którem znajdują się kopalnie soli największe na całym świecie. Wojtuś pragnął widzieć te cuda natury i szukał sposobności, aby być w Wieliczce. I tak niespodziewanie zdarzyło się, że jego pracodawca objął większą robotę przy budowie magazynów w Wieliczce i tam wysłał z czeladzią Wojtusia. On tu zapoznał się z górnikami i prosił, aby przy najbliższej sposobności mógł zwiedzić podziemne kopalnie. Nie długo na to czekał, bo we dwa tygodnie od jego przybycia, zgłosiło się liczne towarzystwo, w celu zwiedzenia kopalni. On się przyłączył do zwiedzających i podziwiał te prawdziwe cuda. Tu pod ziemią są trzy piątra na dół. Zwiedzający albo spuszczają się linwami, albo po schodach idą. Na pierwszem piętrze jest ołtarz św Antoniego, cały z soli kamiennej. Stąd prowadzą długie podziemne korytarze do wielkiej sali gościnnej czyli balowej. Tu jest olbrzymi pająk z soli kryształowej, czystej jak szkło. Tu odbywają się zabawy i tańce przy górniczej muzyce i oświetleniu. Dalej, do trzeciego piątra nadół, płynie się pod ziemią galarem przez jezioro. Tu górnicy wydobywają sól w olbrzymich bryłach, zwożą ją do komór a stąd wyciągają na powierzchnię i rozsyłają po całym świecie. Kilka godzin był Wojtuś pod ziemią, tam oddychał powietrzem nasycanem solnymi częściami i czuł w ustach sól. Gdy już był na powierzchni, zastał dzieci, które sprzedawały różne przedmioty ze soli kryształowej, jak: krzyżyki, książeczki, serduszka i inne. On kupił kilka, aby posłać rodzicom, bo w tych stronach nikt coś podobnego nie widział. Po kilku tygodniach pracy w Wieliczce, powrócił do Krakowa do zwykłych zajęć.

Tak dwa lata upłynęły od czasu, kiedy wyszedł z

Tarnopola w podróż. Dwa lata przy pracy i wycieczkach niespostrzeżenie przeszłe. Często pisywał listy do rodziców i otrzymywał odpowiedzi. Jednego dnia gdy tak wieczorem po robocie rozmyślał, co tam w domu się dzieje i jak się mają, zatęsknił za rodzinną strzechą. Jakiś żal i smutek ogarnęły serce jego i nie miał spokoju. Postanowił napisać list do domu.

Wtem w kilka dni otrzymał smutną wiadomość. Umarł dziadek a wkrótce i babka. Żal ogarnął serce jego, z łzami w oczach odczytywał ten list kilkakrotnie i postanowił powrócić do domu.

Powrót do wioski rodzinnej.

Po otrzymaniu wiadomości o śmierci dziadka i babki zatęsknił za rodzicami, bo przedstawiał sobie żal i smutek ich po tak wielkiej stracie sędziwych staruszków, których tak gorąco kochali. Postanowił powrócić do domu i oświadczył to swemu pracodawcy, aby wcześnie postarał się na jego miejsce o innego czeladnika. Pawłowski, tak nazywał się jego pracodawca, nakłaniał go, aby dalej u niego został i postanowił podwyższyć mu płacę, lecz nic go wstrzymać nie mogło. Postarał się o pamiątki i podarunki dla rodziców i rodziny. Jeszcze raz jakby na pożegnanie odwiedził kościoły w Krakowie, na Wawelu, w kościele katedralnym, tam u stóp ołtarza Św. Stanisława, modlił się gorąco i polecił swe losy życia jego opiece. Pożegnał się z Pawłowskim i czeladzią, puścił się pieszo z powrotem do domu. Aby nie tracić oszczędzonego grosza, zatrzymywał się w większych miastach i zarabiał na dalszą podróż. Po kilku tygodniach przybył do rodzinnej chatki. Tu zastał wszystkich przy zdrowiu i pracy. Wielka radość powstała w całym domu; Wojtuś witając się, całował ręce rodziców, ściskał rodzeństwo ze łzami w oczach. Po przywitaniu się, rozdzielał podarunki i pamiątki z Krakowa.

Wnet zastawiono stół do wieczerzy, w czasie której opowiadał o swej podróży i co widział w świecie.

Po kilkudniowym wypoczynku poszedł do Tarnopola, zgłosił się do pracowni Krzemińskiego, u którego terminował i tam objął robotę. Tu pracował przez dwa lata; każdy grosz złożony posyłał rodzicom na kupno pola lub ogrodu, bo miał na myśli, aby na starsze lata mieć ubezpieczenie. Często odwiedzał swych rodziców i nigdy nie opuszczał sposobności, aby pomódz im w pracy.

Wojtuś oddany do wojska.

Gdy Wojtuś liczył lat dwadzieścia oddano go do wojska. Ciężka to i sześcioletnia służba przerażała każdego, bo zaraz nowozaciążonego posyłali w dalekie kraje od swoich. Rodzice i rodzeństwo żegnali Wojtusia wśród łez i płaczu, bo musiał iść aż pod Wiedeń, a wówczas nie było kolei, więc w pełnem uzbrojeniu szedł pieszo w tak dalekie kraje.

W pierwszych tygodniach było mu bardzo przykro, bo nie mógł oswoić się ze swym losem, wiele cierpiał, wiele znosił i nie jeden kielich goryczy wychylił, nim przyzwyczaił się do życia wojskowego.

Wiedeń, stolica państwa austryackiego, miasto bardzo wielkie i ładne, nad rzeką Dunaj, podobało mu się, lecz zwyczaje i obyczaje narodu zupełnie odmienne od naszych. Mowa dla Polaka niezrozumiała, trudno o co pytać albo porozmawiać, zdawało się, że jest niemym i z niemymi jest w otoczeniu. Pewnego razu zabłądził i nie mógł powrócić do koszar, pomimo pytania przechodniów, którą drogą ma wracać, a pytał się po polsku, bo po niemiecku nie umiał, otrzymywał niezrozumiałą mu odpowiedź: „Ich verstehe nicht!“ Gdy tak zakłopotany szedł koło teatru, spotkał dwóch panów młodych, którzy dość głośno rozmawiali po polsku. Uradowany przybliżył się do nich i prosił o wskazanie mu drogi. Ci ofiarowali mu

swoją usługę i odprowadzili do samych koszar. W drodze wypytywali się skąd jest, jak dawno przybył do Wiednia? Również Wojuś dowiedział się, że ci panowie są z okolic Zbaraża, którzy uczęszczali na wyższe studya we Wiedniu.

Gdy poduczył się po niemiecku, zwiedzał kościoły i wystawy, ogród zoologiczny czyli zwierzyniec. Zwiedził też kościółek polski na „Kalenbergu" czyli na Łysej górze, postawiony na pamiątkę odsieczy Wiednia przez króla polskiego Jana III Sobieskiego. W tym kościółku co roku w październiku, odprawia się solenne nabożeństwo na pamiątkę ocalenia Wiednia od oblężenia tureckiego. Po dwu latach pobytu we Wiedniu i okolicy poszedł ze swym pułkiem do Węgier. Tu znowu nowa przykrość, bo nierozumiał tej mowy. Wprawdzie władał językiem niemieckim dość dobrze, ale cóż, Węgrzy nie umią ani po polsku, ani po niemiecku, tylko po madiarsku, a ta mowa dość trudna. W koszarach rozmawiał po polsku, ale aby co kupić w mieście, lub zapytać się kogo gdzie kto mieszka, lub którędy droga? to nadarmo, nikt go nie rozumiał. Lecz potrzeba, to najlepsza wynalazczyni. Po roku umiał po węgiersku i już mu przyjemniej było, bo mógł z tamtejszymi mieszkańcami porozumiewać się. Węgry, to kraj zupełnie odmienny od naszego, inne zwyczaje, inne obyczaje. Bogactwo wielkie. Wszędzie uprawiają winogrona, które Wojtuś bardzo lubił. Wino tanie, można było sobie pozwolić. Pomimo oddalenia od domu rodzicielskiego nie zapominał on o rodzicach i rodzeństwie, i od czasu do czasu posyłał im w koszach winogrona a nawet wino, czem się rodzice bardzo cieszyli. Lud tu był przychylny dla polskiego pułku, to też żołnierze doznawali wszędzie gościnności. Lecz nie długo to trwało, bo po dwu latach cały pułk został przeniesiony do Włoch, nad morze Adryatyckie. Po kilku miesięcznym marszu i nasz Wojtuś już jako podoficer stanął na miejscu.

Znowu zupełnie inny kraj od naszego: Zimy prawie nie ma, cały rok tak ciepło, że kożucha tu nikt nie widział, w pomieszkaniach nie ma pieców ogrzewalnych. Niebo prawie zawsze wypogodzone, słoty długotrwałej też nie ma. Śliczny to kraj! Prawdziwy ziemski raj. Tu rosną: figi, pomarańcze, cytryny, rożki, winogrona, i drzewa oliwne, z których jagód wytłaczają tak dobrą oliwę, że zastępuje nasze masło i słoninę. Cóż, że tu tak ładnie, kiedy z tym narodem trudno się rozmówić. Nawet oficerowie nie rozumieli włoskiej mowy i chodzili jakby niemi. A włoska mowa jest bardzo ładna, pieszczotliwa, płynna; podobna do łacińskiej i francuskiej. Kto umie po łacinie, to w bardzo krótkim czasie może jej nauczyć się. — Wojtuś po roku pobytu w Wenecyi, pojął i nauczył się mówić po włosku. A to w ten sposób: Kupił sobie początkową książkę szkolną i jeden żołnierz Włoch, uczył go czytać po włosku i tłómaczyć a więc i mówić. Z początku trudno mu te przychodziło, lecz po kilku miesiącach przełamał trudności, a po roku już dość dobrze umiał mówić. Wenecya, to wspaniałe miasto: wiele tu kościołów i gmachów, największy kościół św. Marka. Ale dróg w mieście nie ma, bo zbudowane nad morzem. Łodziami, czyli małymi gandolami płynie się z jednej dzielnicy na drugą; rzadko gdzie jest chodnik kamienny.

Wojtuś w Rzymie.

Wojtuś jako podoficer, bo w pierwszym roku dostał rangę, kończył już służbę wojskową i miał wkrótce być wolnym. Pewnego razu, gdy był w kościele na kazaniu, bo już rozumiał po włosku, słyszał, jak ksiądz na ambonie zapowiadał o zbierającej się pielgrzymce do Rzymu, na Wielki Tydzień przed Wielkanocą. Słyszał, jak ksiądz zachęcał wiernych do wzięcia udziału w tej pielgrzymce, oraz jakie koszta nieznaczne wynosiła pielgrzymka. Ponieważ to tak blisko z Wenecyi do Rzymu, postarał

się o pozwolenie i w oznaczonym dniu wyruszył w drogę. Tu wraz z innymi zwiedzał kościoły, które swoją budową i wspaniałością zadziwiały go. W Wielki Czwartek był w kościele Watykańskim, gdzie Ojciec święty, Papież, odprawiał nabożeństwo, przy licznej asyście biskupów i kardynałów, a po nabożeństwie udzielał pielgrzymom błogosławieństwa.

W tym czasie przybyły liczne procesye pielgrzymów, prawie z całego świata a nawet z Polski z pod trzech zaborów. Niespodzianie usłyszał jak gromadka pielgrzymów w kościele świętego Stanisława śpiewała pieśń „Boże Ojcze! Twoje dzieci, płacząc, żebrzą lepszej doli“.

Tam daleko, w kościele św. Stanisława Kostki, patrona polskiej młodzieży, pieśń polska wznosiła się do nieba aby wybłagać miłosierdzia dla naszej matki Ojczyzny! Wojtuś przyłączył się do tej gromadki, która go chętnie przyjęła, a byli to sami panowie i panie z zabranego kraju, z nimi razem zwiedzał dalej kościoły i groby pierwszych męczenników.

Tu nakupił wiele pamiątek dewocyjnych i różnych innych i wysłał pocztą wprost z Rzymu do domu rodzinnego z dołączeniem obszernego listu, z doniesieniem, że w tym roku już kończy służbę wojskową i wraca do domu.

Powrót do rodzinnej wioski.

Pewnego dnia, major tego pułku w którym Wojtuś służył, kazał, aby się stawił przed nim. Przerażony Wojtuś nie wiedział, co to ma za znaczenie; nie poczuwał się do niczego, coby mogło spowodować wezwania go. Stanął w oznaczonej godzinie! Po chwili wszedł major do sali i rzekł: W tym miesiącu kończysz służbę wojskową, sprawowałeś się przez cały czas wzorowo, nie miałeś najmniejszej kary. Umiesz jak się dowiedziałem władać kilkoma językami; nam takich ludzi potrzeba, zostań nadal przy wojsku a dostaniesz wyższą rangę. Lecz Wojtuś podziękował

mu za uznanie, ale przy tem oświadczył stanowczo, że powraca do rodziców, których kochał i kocha.

Pieszo z Włoch wracał Wojtuś wraz z innymi żołnierzami wysłużonymi do kraju. Co za nieopisana radość była wszystkich, gdy otrzymali uwolnienie!

Gdy Wojtuś przybył do Krakowa, tu zatrzymał się kilka dni. Przystąpił do spowiedzi i Komunii świętej, poszedł na Skałkę do kościoła i tam dziękował Bogu za opiekę, że szczęśliwie wysłużył przy wojsku.

Po dwumiesięcznej podróży, przybył nareszcie do domu rodzinnego. Było to w wigilię Zielonych Świąt. Wszędzie koło domów młodzież majiła zielonymi gałązkami wrota i domy. I dom Turów był już umajony ręką Adama. Na dziedzińcu wszędzie ład i czysto pozamiatano. Wojtuś wszedł do izby prawie niespodziewanie. Matka pierwsza go zobaczyła i z radości zawołała: Wojtuś! Wojtuś kochany! Na ten głos przybiegła i Zosia. W pierwszej chwili nie poznała brata. On ucałował ręce matki i z radości płakał. Po chwilce nadszedł ojciec z Adamem. Rzewna była chwila witania się. Matka przytuliła go do serca i długo całowała. Zosia, Adaś ściskali go długo i wpatrywali się w niego jak w obraz. — Ojciec rzekł: Matko, przygotuj posiłek, bo on umęczony podróżą. Wojtuś rozpakował swoją podróżną waliskę i rozdawał śliczne upominki, lecz nic im tak nie było miłem, jak powrót jego.

Z domu wzięty do wojska jako młodzieniec, teraz już miał czarne sumiste wąsy, postawa smukła jak jodełka w lesie; oko jasne, czoło świadczyło o pogodnem usposobieniu, twarz uśmiechnięta.

Po kilkudniowym wypoczynku, wybrał się z rodzicami do Zbaraża na odpust w dzień św. Antoniego, aby tam złożyć Bogu podziękowanie za doznane dobrodziejstwa i szczęśliwy powrót do domu. Tam po nabożeństwie odwiedził swych byłych nauczycieli, każdemu dał pamiątkę z Rzymu, a przy tem dziękował za naukę i ich troskli-

wość, mówiąc: Nauki i zasady życia jakie stąd wyniosłem, towarzyszyły mi dotychczas w mem życiu i o nich nie zapomnę. Bernardyn, Ojciec Rajmund, który dał Wojtusiowi po egzaminie srebrny medalik na pamiątkę, zatrzymał go u siebie i wypytywał go o wszystkie szczegóły dotyczące ze służby wojskowej i chwalił, że wyraża się czysto po polsku, pomimo że włada kilkoma językami.

Wojtuś jak dawniej nie lubił tracić czasu bezczynnie, więc i teraz przyjął robotę stolarską w poblizkiej wiosce przy budowie pałacu dworskiego. Ponieważ wydoskonalił się w tym kierunku, więc miał zawsze dużo roboty. Za zaoszczędzony grosz kupował pola, gdy tylko było na sprzedaż, mówiąc: ziemia, to najlepszy kapitał.

Pewnego dnia, gdy wieczorem siedział wraz rodzeństwem w ogródku kwiatowym i opowiadał jak to raz zabłądził we Wiedniu i to w dzień, jak to dwóch akademików Polaków wskazali mu drogę do koszar. Słysząc to Zosia, rzekła: Właśnie jeden z tych panów, to jest najstarszy syn obywatela Czerniachowskiego, opowiadał o tem, gdy przybył z Wiednia do domu. — W czasie opowiadania zajechał wózek i zatrzymał się koło ich domu. Wojtuś zawołał: Ach to pan Jastrzębski! mój wybawca z jaru! i zaprosił go do izby. Po przywitaniu się, Jastrzębski oświadczył, że obywatel jego życzy sobie, aby Wojtuś przyjął robotę stolarską przy budowie we dworze i aby z nim pojechał do zawarcia umowy. Wojtuś przyjął robotę i mieszkał przez ten czas u Jastrzębskiego. Tu poznał sierotę Stasię, jego daleką krewnę i oświadczył sięo jej rękę. Stasia nie miała żadnego majątku, ale odszczególniała się pobożnością, pracą i łagodnością. W krótkim czasie pobrali się i zamieszkali w Zbarażu. Turowie wydali Zosię za leśniczego do sąsiedniej wioski, Jana Adamskiego. Przez lat kilka pracował Wojtuś w Zbarażu, grosz zarobiony wkładał w gospodarstwo. Gdy zaś rodzice nie

mogli pracować i Adam, syn ich najstarszy, podupadł na zdrowiu, Wojtuś sprowadził się do wioski rodzinnej, objął w zarząd całe gospodarstwo. Zawsze pracy oddany, przedewszystkiem starał się osłodzić życie rodziców na ich starsze lata; starał się, aby im na niczem nie zbywało! Żona jego, Stasia, pielęgnowała ich i dogadzała we wszystkiem i uprzyjemniała im życie.

Wojtuś wójtem.

Zarząd w jego gospodarstwie zwrócił oczy całej gminy: pola dobrze sprawione, konie i bydło doborowe, w domu spokój i zgoda, porządek i schludność w każdem miejscu. Ojcowie gminy brali sobie wzór z niego i powiadali: Dobrze rządzi swojem gospodarstwem i postanowili, przy najbliższych wyborach obrać go wójtem. Gdy były wybory wszyscy jednogłośnie wybrali go wójtem. Lecz on nie chciał przyjąć tego urzędowania. Dopiero na prośbę obywatela miejscowego, zgodził się na wybór. Na pierwszem posiedzeniu rady gminnej tak przemówił: Wybraliście mię wójtem, więc nie myślę być nim tylko dla tytułu. Wójt z radnymi musi dbać o dobro gminy. Otóż aby upamiętnić to pierwsze posiedzenie, musimy uchwalić założenie szkoły i to co do wyposażenia jej i nauczyciela potrzeba. Do roku stanął ładny budynek szkolny, w którym pod kierunkiem egzaminowanego nauczyciela, miejscowa dziatwa uczyła się.

Szpichlerz gminny.

W tym samym roku przed samymi żniwami, Wojtuś, jako naczelnik gminy zarządził, aby każdy gospodarz bez wyjątku, dał kilka garncy zboża każdego gatunku do szpichlerza gminnego, aby w razie ciężkiego przednowku, ubodzy mogli pożyczać na mały procent w odsypie. Po kilku latach z samego procentu z odsypu było tyle zboża, że je sprzedawano a pieniądze użyto na założenie gminnej kasy pożyczkowej, również na mały pro-

cent. Korzystali tak z pożyczki zbożowej, jak i pieniężnej nietylko biedni ale często i bogatsi. A zgłoszeń ze sąsiednich wiosek o pożyczkę było bardzo wiele. Tak w przednowku lud się nie zadłużał, nie szukał pomocy u obcych i spekulantów, tylko w swej gminie miał pomoc.

Sad gminny.

Do gminy należał spory kawał ziemi, który długie lata stał pustkowiem. Wojtuś założył tam szkółkę owocową i w ten sposób rozpowszechnił sady przy gospodarskich zagrodach. Cmentarz kazał obsadzić żywopłotem, obkopać rowem, aby bydło nie deptało po grobach dziadów naszych.

Sąd polubowny.

Na posiedzeniu Rady gminnej wybrał uczciwych i doświadczonych gospodarzy, którzy rozstrzygali spory między sąsiadami i mieszkańcami tej gminy. Ustanowił też opiekunów nad sierotami i wdowami, i sam czuwał nad tem, aby one nie doznawały pokrzywdzenia. To też lud tej wioski nie włóczył się po sądach, nie procesował, lecz pilnował pracy.

Często naczelnik gminy udawał się do dworu o poradę w pewnych sprawach. Lud w wiosce słuchał go, bo poznał, że wszystko, co on zarządził, łączyło się z dobrem dla gminy. Wprawdzie dawniej nie było wichrzycieli, którzyby lud bałamucili i wywoływali różnicę narodowości i obrządku. Polacy i Rusini żyli w jedności i zgodzie; wzajemnie się wspierali, wzajemnie sobie pomagali i w nieszczęściu ratowali, to też Bóg widząc tę zgodę, błogosławił wioskom.

Klęski w kraju.

Jak nadmieniłem, spichrze były pełne zboża, w gminie był grosz zapasowy, lud miał się dobrze, nieczuł, jak to mówią „ni głodu ni chłodu“. Gdy atoli nastał rok po-

suchy i gradu, brakło zboża i to nietylko u uboższych, ale i u bogatych gospodarzy, bo to jak klęska jaka, to ją wszyscy odczuwają, nastał głód i ciężki przednowek.

W dodatku nieszczęścia wybuchła słabość, „cholera". Straszna to choroba i zakaźna! Rodzice Wojtusia pomimo ratunku do tygodnia oboje pomarli. Dzieci, których miał troje: Stasio, Adaś i Józia, ciężko chorowały. W pierwszych chwilach po stracie rodziców chodził smutny, z zbolałem sercem i płakał żałośnie. W tym smutku nie szukał pociechy w kieliszku, lecz pojechał do Zbaraża, tam przystąpił do spowiedzi i komunii św., i od tej chwili uspokoiło się serce jego. Pomimo choroby zaraźnej, jako naczelnik gminy odwiedzał chorych, zarządzał stróże, aby wszędzie panowała schludność i czystość, kazał wszystkie studnie oczyścić, bo nieczysta woda, napełniona zarazkami, powodowała rozszerzenia się choroby.

Ludzie po kościołach i w domach zanosili gorące modły do Boga, prosząc o odwrócenie tej strasznej klęski. Wprawdzie lud chorował też wskutek niedostatku, to też Wojtuś jako naczelnik gminy, dostawał z dworu od obywatela codziennie, żywności na dwadzieścia osób; założył kuchnię, gdzie ubodzy dostawali ciepły posiłek.

Po tych pochmurnych dniach życia, po tej strasznej klęsce, nastąpiło zlitowanie Boskie. Cholera ustała, nastąpił rok urodzaju i znowu powróciło dawne życie w wiosce, w której Wojtuś jako wójt dalej rządził. Czy w szczęściu i powodzeniu czy też w ucisku i klęskach zawsze zdawał swe losy w ręce Stwórcy swego i trzymał się drogi, prowadzącej do Boga. — Bóg mu błogoslawił i dodawał sił do pracy!

II.

W tej samej wiosce, w sąsiedztwie Turów, mieszkał mielnik, Bartłomiej Wodyń. Obok młyna stała piękna zagroda, składająca się z murowanego domu i zabudowań gospodarskich. Brama wjezdna i parkan około pomieszkania, świadczyły o zamożności mieszkańców. Obszerny dziedziniec a za nim ogród warzywny i sad, w którym rosły drzewa owocowe i krzewy, zdobiły całą zagrodę. Jak zewnątrz tak i w izbie był wzorowy porządek, wszędzie czysto i schludnie, bo gospodyni domu Jadwiga Wodyniowa, lubiła ład. Wodyniowie mieli troje dzieci: Najstarsza córka Bronisława, liczyła lat siedm, młodsza, Stefcia, lat pięć, a najmłodszy syn, Michaś, lat cztery. Rodzice starali się o wzorowe wychowanie swych dzieci, od maleńkości nakłaniali je do pracy, pobożności i poszanowania cudzej własności. Sam Wodyń nie mógł oddawać się wychowaniu, lecz matka nie spuszczała je z z oczu: Zawsze były czysto ubrane, umyte i zaczesane. Wedle dawnych zwyczajów wstawały stósownie do swego wieku w oznaczonej godzinie, odmawiały razem z rodzicami wspólną modlitwę. W lecie bawiły się i boso biegały po dziedzińcu i ogrodzie, a czasem szły do lasu pobliskiego, zbierały poziomki i grzyby! Tak żyjąc na świeżem powietrzu, były zdrowe, silne, zahartowane i ładnie się rozwijały, piękne jak wiosenne kwiaty.

Udzielaniem początkowej nauki zajmywała się matka, bo sama umiała czytać i pisać. Ale ta nauka nie szła właściwym tokiem wytycznym, częste były przeszkody: Jednego dnia nie było czasu do nauki, drugiego goście przyjechali, a często i tak bywało, że trudno było zwołać dzieci, czasem cały tydzień upłynął, a one nie miały ani jednej godziny nauki. A czas upływał. Michaś najmłodszy liczył już lat sześć, więc koniecznie należało pomyśleć o nauce systematycznej. Jednej niedzieli pojechała matka do Zbaraża,

tam umówiła się ze swą ciotką Barańską i dała na stancyę dzieci. Na tę wiadomość, że mają wyjechać z domu na stancyę i w Zbarażu chodzić do szkoły, dalej w beki i głośny płacz! Ojciec, słysząc tę muzykę, chciał przyjąć nauczyciela domowego, aby je uczył, lecz matka na to nie zezwoliła i w dniu oznaczonym odwiozła je do szkoły. Obydwie córki, które umiały dobrze czytać i pisać, zostały przyjęte do klasy pierwszej, dzisiejszej drugiej, a Michaś do elementarnej. — Oddawszy je pod opiekę ciotki, jeszcze raz pożegnała się z dziećmi i odjechała do domu. W drodze jednak żal się jej zrobiło, że wszystkie troje zostawiła na stancyi. A ten płacz, a te beki dzieci przy pożegnaniu, długo w jej uszach odbijały się; myślała nad tem, aby choć najmłodszego wziąść napowrót do domu. Długo walczyła z tą myślą, lecz ostatecznie została przy tem, aby pozostawić go w szkole.

Po powrocie do domu, w izbie nikogo nie zastała: Mąż jak zwykle zawsze przy pracy w młynie, czeladź wyszła w pole do roboty, a tu cisza i głucho! Smutno i przykro jej było bez dzieci, które swym hałasem i zabawami ożywiały dom. Po kilku dniach uspokoiła się i zgadzała z losem. Tak ma być! Nauka dzieciom potrzebna! Bez niej nikt obejść się nie może! Tak w duchu powtarzała.

Dzieci uczęszczały pilnie do szkoły i uczyły się. Ciotka codziennie wieczorem opowiadała im dzieje ojczyste i inne zdarzenia okolicznościowe, czem je do siebie przywiązała. Matka co miesiąca odwiedzała je, zajeżdżając do ciotki, naładowanym wozem wiktuałami.

Na każde święta, kiedy było kilka dni wolnych od nauki, przyjeżdżały dzieci do domu. Wtedy to tam było wesoło i gwarno! Każde z nich miało co do opowiadania, każde chciało być pierwiej wysłuchanem i podnosiło głos swój coraz wyżej. A z tego powstał taki gwar, iż trudno było zrozumieć, co które z nich mówi. Gdy raz ojciec

wszedł do izby na nich przywitanie i usłyszał ten gwar, rzekł: Dzieci przestańcie, bo ogłuchnę! Młyn ciągle kłykoce, ale do tego już się przyzwyczaiłem i nie słyszę, ale wasz gwar rozstraja mię! Biedni nauczyciele wasi. Ileż to pracy potrzeba, aby was uspokoić! Michaś na to: O! W szkole nie wolno hałasować! Tam podczas nauki — cicho, jakby nikogo nie było. Matka również w pierwszych dniach cieszyła się tym gwarem, ale później i jej było za wiele i uspokajała je.

Wakacye.

Rok prędko przeminął i nastąpiły wakacye: Obie córki otrzymały postęp bardzo dobry, lecz Michaś zaledwie dostateczny, bo nie przykładał się do nauki tak, jak powinien: często odciągał się od książki. Radość dzieci, wracających ze szkoły do domu na wielkie wakacye jest do nieopisania, osobliwie przy postępie do wyższej klasy. Wakacye, wakacye! wołały dzieci i oczekiwały z niecierpliwością dnia, kiedy po nich matka przyjedzie.

Dziś rano egzamin i dziś już pojedziemy do domu, tak rozmawiały dzieci. I istotnie, już rano matka przyjechała. Po egzaminie pousadzała je jak zwykle w dość wygodnym wózku węgierskim, pożegnała się z ciotką i ruszyła do domu. W czasie wakacyi zaprawiała córki do domowego gospodarstwa, w oznaczonych godzinach miały robotę ręczną, przechadzkę lub czytanie książek. Michaś jako najmłodszy, miał najwięcej wolności i swobody. Zaprzyjaźnił się z dziećmi gajowego, tam często przebywał i błąkał się po lesie, nie brał się do żadnej pracy w ogrodzie lub sadzie, pomimo, że miał sobie powierzone dwie grządeczki sadzonek do czyszczenia z chwastów, biegał, bawił się i używał jak to mówią wolności wakacyjnej.

Lata w szkole początkowej prawie niespostrzeżenie przeminęły, trzeba pomyśleć co dalej czynić. Otóż Wody-

niowie postanowili: Córki obie mają uczyć się gospodarstwa domowego przy matce, a Michaś uczęszczać do szkoły średniej, czyli gimnazyum.

Michaś w gimnazyum.

Dawniej w Tarnopolu było tylko jedno gimnazyum, w którem uczyli Ojcowie Jezuici. Oni uważali na to, aby młodzież utalentowana korzystała z wyższych nauk, dzieci zaś miernych talentów, niechętnie przyjmowali. Michaś przedłożył swe świadectwo szkolne z postępem zaledwie dostatecznem, nie chcieli go przyjąć, ale na usilne prośby ojca, został przyjęty. Rodzice cieszyli się tem i szczycili, że ich syn uczęszcza do gimnazyum i obiecywali sobie, iż w czasie zostanie wysokim urzędnikiem lub adwokatem. „Zdarza się często, że i mierne talenta przy pracy i pilności wyrabiają się i stają na równi z innymi, ale u Michasia nie było ani pracy, ani pilności, ani zamiłowania do nauki.“ Lubił długo sypiać, używać przechadzki i spędzać drogi czas na próżniactwie. Zaraz w pierwszem półroczu szkolnem, wynik jego nauki był niedostateczny. Ojcowie Jezuci zaprosili jego ojca do szkolnej kancelaryi i radzili mu, aby syna dał do jakiego zawodu: albo do sklepu, lub rzemiosła, bo on nie ma zamiłowania do nauki. Lecz ojciec prosił, aby go zatrzymano nadal. Oprócz stancyi zapłacił czesne i opłacał korepetytora, który uczył Michasia i przygotowywał do każdej lekcyi.

Przy takich wysileniach ze strony rodziców, Michaś ukończył dwie klasy. W klasie trzeciej, gdzie przychodzi nauka języka greckiego, utknął, więc powtarzał tę klasę. A gdy i w drugim roku, już na pierwsze półrocze groziła mu zła klasa, sam przestał uczęszczać do szkoły i objął pisarkę u pewnego adwokata. Gdy się dowiedzieli rodzice o tym tak nierozważnym kroku, bardzo się zmartwili. Ojciec chciał go dać na praktykę do księgarni, lub umieścić w sklepie jako praktykanta kupieckiego, lecz pomimo przed-

stawień ze strony rodziców, nie usłuchał, i dalej spełnia obowiązki pisarza za bardzo małem wynagrodzeniem. Rodzice mu dopomagali, bo to, co pobierał, nie wystarczało na utrzymanie życia. Michaś nie słuchał rady rodziców, zawiązał znajomość z młodzieżą zepsutą, opuszczał swe obowiązki w kancelaryi, często się spóźniał, co spowodowało, że stracił miejsce i wałęsał się bezczynnie po mieście. Wiadomość o stracie miejsca poraz drugi, mocno odczuli rodzice i ze zgryzoty rozchorowali się. Ojciec chciał go wziąć do domu, aby nauczył się młynarstwa, lecz on nie usłuchał i sam na swoją rękę prowadził pokątną pisarkę. Rzadko kiedy chodził do kościoła, nie stósował się do poleceń rodziców i starszych osób, często zaglądał do kieliszka, w ogóle, zboczył z drogi prawej, z drogi cnót. Tak żyjąc lat kilka jako pisarz pokątny, czekał poboru do wojska.

Michaś żołnierzem.

Gdy nadszedł czas branki, czyli poboru do wojska, zasmucił się Michaś, obawiał się karności wojskowej, do której nie był od maleńkości wdrażany. Jednak ten smutek nie długo trwał, bo budował swoją karyerę przy wojsku, na piękne i biegłe pismo. I istotnie z wiadomościami jakie posiadał, w owych czasach mógł zostać oficerem, przy wzorowem zachowaniu się i spełnianiu obowiązków. Lecz kto do czego nawyknie, trudno się odzwyczaić, trzeba mieć wielki hart ducha, aby sobie odmówić wszelkich wygód, a on nie starał się zapanować nad sobą i swej woli rozkazywać. Zaraz po oddaniu go do wojska, przybył do rodziców na pożegnanie, bo za kilka dni miał odejść do pułku, stojącego na Węgrzech. Rodzice i siostry rzewnie się z nim żegnali i błagali ze łzami w oczach, aby postępował prawą drogą, aby porzucił złe nałogi i nawyczki, aby uczęszczał do spowiedzi, która jest jedynym środkiem poprawy. On rzucił się do nóg rodziców i przyrzekł poprawę.

Zabawił w domu u rodziców kilka dni, nawet z nimi odprawił spowiedź wielkanocną. Zaraz po świętach, pożegnał się ze wszystkimi, bo już pozwolenie pobytu w domu kończyło się i czas do odmarszu zbliżał. Przy pożegnaniu wcisnął mu ojciec kilka złp., matka dała mu od siebie też kilka złp. i zawiesiła na szyję srebrny krzyżyk, mówiąc: „Niech Zbawca świata ma ciebie w swej opiece!“ Starsza siostra dała mu maleńką książeczkę do modlenia, a młodsza obrazek. Dawno nie miał Michaś łez w oczach, teraz przy pożegnaniu rozpłakał się i całując rodziców ręce i nogi, postanowił zupełną poprawę.

Pierwszy rok przy wojsku.

Ponieważ dawniej przy wojsku, za najmniejsze przewinienie karano cieleśnie i to dość dotkliwie, to też nasz rekrut bał się strasznie tej kary i spełniał swe obowiązki ku zadowoleniu swych przełożonych. A że miał kilka klas gimnazyalnych i pięknie pisał, w krótkim czasie został podoficerem i przydzielono go do kancelaryi wojskowej, czem bardzo się ucieszył, bo miał lżejszą służbę, jak zwykły szeregowiec. Tu nauczył się po węgiersku nietylko mówić, ale czytać i pisać. Potem został przeniesiony do Wiednia, gdzie musiał posługiwać się wyłącznie językiem niemieckim. W czwartym roku służby, został starszym podoficerem, kierującym całą kancelaryą. Miał żołd większy i dodatek za prowadzenie kancelaryi; miał tyle, że mógł z tego cokolwiek oszczędzić. Lecz niestety! Nie umiał panować nad sobą, nad swymi skłonnościami. Wiedeń, miasto wielkie, jest sposobność do zabawy i do stracenia grosza. Michaś nie potrafił sobie odmówić tego, co mu przyjemność sprawiało: Zapomniał o danem przyrzeczeniu poprawy, do kościoła nie uczęszczał, a nawet nie modlił się a co więcej, do rodziców nie pisywał; zaprzyjaźnił się z takimi, którzy wyśmiewali tych, co mieli Boga w sercu i żyli wedle przykazań Boskich. — Te męty społeczeństwa po-

dobały się Michasiowi i w krótkim czasie upadł na dno piekielne: Zaglądał do kieliszka, nie spełniał punktualnie powierzonych mu obowiązków, a gdy pewnego razu nadużył alkoholu i w tym stanie zastał go w kancelaryi kapitan, zagroził mu odebraniem rangi. Ponieważ i ta groźba nie pomogła i poprawy nie było, odebrano mu powierzony zarząd kancelaryi i posłano jako zwykłego szeregowca do innego pułku za karę. — Poznał teraz skutki lekkomyślności i złego towarzystwa. Pomimo swych zdolności, musiał jako szeregowiec wszelkie czynności spełniać, tak w służbie jak i poza służbą.

Upokorzony degradacyą, w obawie narażenia się na kije, których wówczas przy wojsku używano, na utrzymanie karności, spełniał najtrudniejsze obowiązki i starał się zadowolić swych nowych przełożonych. Po roku przydzielono go znowu do kancelaryi, ale tylko jako pomocnika do pisania i to bez awansu, bo przy wojsku, kto raz straci szarzę, to z trudnością jej napowrót otrzyma. W szóstym roku służby ustatkował, został znowu kapralem, ale ten ponowny awans nie cieszył go, lecz oczekiwał dnia, kiedy zostanie uwolniony z wojska.

Michaś po uwolnieniu z wojska.

Z wielką radością witał ów dzień, w którym doręczono mu uwolnienie z wojska. Pomimo że, nie został ani oficerem, ani kapitanem, jak sobie przedtem obiecywał, spieszył do kraju wraz z innymi wysłużonymi żołnierzami, pieszo, etapem czyli transportem. Podróż z Wiednia do Tarnopola, trwała dość długo, bo z przestankami przeszło miesiąc. Każdy oczekiwał dnia, w którym będzie mógł zawitać do swoich rodziców lub krewnych i tam pod rodzinną strzechą swobodnie odetchnąć. Jedni już w duchu cieszyli się, że po powrocie do domu, będą pomagali rodzicom w gospodarstwie, inni, że dalej będą prowadzili

swe rzemiosło, a Michaś nad czem myślał?... Rzemiosła nie umiał, do gospodarstwa nie miał ochoty. Ale adwokatura pokątna, ta mu się uśmiechała, tej się odda. Bez studyów, bez odpowiednich nauk, będzie pokątnym adwokatem. „Ten, co nie ma dyplomu na adwokata, a załatwia byle jak sprawy należące do adwokatów, nazywa się pokątnym adwokatem!“

Michaś w domu.

Po uciążliwej podróży pieszej, przybył Michaś przed samymi żniwami do domu rodzinnego. Witał się z rodzicami, sióstr już nie było w domu, bo obie w jednym roku a nawet dniu, wyszły zamąż: Starsza, Bronisława, wyszła za leśniczego, Jana Sosnowskiego, i mieszkała na leśniczówce koło Załoziec, a młodsza, Stefcia, wyszła za mielnika, Marcina Mączarskiego, i mieszkała w Zbarażu.

Rodzice byli spracowani, starość się zbliżała, i pragnęli wypoczynku, a nie mieli na kogo zdać gospodarstwa. Każda z córek dobrze wywianowana, prowadziła dom osobny, nie oglądając się i nie potrzebując pomocy rodziców. Sądzili, że Michaś po powrocie z wojska zajmie się gospodarstwem, lecz on oświadczył, że w Tarnopolu otworzy kancelaryę adwokacką, która mu da większe dochody, aniżeli gospodarstwo. Odpocząwszy kilka dni, wybrał się do Zbaraża w odwiedziny krewnej, u której jako uczeń stał na stancyi. Gdy wszedł do jej pomieszkania, ona zaraz na przywitanie mimowoli zawołała: A! witam pana porucznika! On tem obraził się, bo sądził, że te słowa były wypowiedziane złośliwie. Mógł był zostać oficerem, ale nie został, a dlaczego, to już nam wiadomo.

Pomimo, iż krewna zapraszała go, aby się zatrzymał dłużej, lecz on pożegnał ją i odszedł. — Już zamierzał powrócić wprost do domu, gdy w tem spotkał się z dawnym znajomym. Przywitali się szczerze i aby upamiętnić tę chwilę

spotkania się, poszli do zajezdnego domu, który stał pod murami starożytnego zamczyska, tam się raczyli po dawnemu, i ta gościnność ze strony znajomego trwała tak długo, aż ostatni grosz wyciągnął z kieszeni Michasia. Rodzice spodziewali się jego powrotu w tym samym dniu, w którym poszedł do Zbaraża, a że nie wrócił, tłómaczyli sobie, że zatrzymał się u swej krewnej lub u swej siostry, która tam mieszkała. Po kilku dniach powrócił do domu zupełnie zmieniony, opuchnięty z nadmiaru użycia alkoholu, „wódki“, blady, niewyspany, oczy zapuchnięte, nie podobny do człowieka. Na widok tego stanu, rodzice zmartwili się i robili mu wyrzuty, za niedotrzymanie przyrzeczenia poprawy. On słuchał i wzdychał, ale o poprawie nie myślał.

Michaś w Tarnopolu

Na wsi Michasiowi było zaciasno, nudził się, bo nie miał do siebie towarzystwa. Wybrał się do Tarnopola, otworzył kancelaryę pisarską. W tem zgłosiło się do niego kilku młodych ludzi, do pomocy w kancelaryi. On sam nie miał wiele do czynienia, ale przyjął ich nie do pracy, lecz do wspólnej zabawy. Zarobiony grosz tracił z nimi i przyszło w krótkim czasie do tego, że nie miał z czego sam żyć.

Rodzice dowiedziawszy się o jego postępowaniu, przyjechali do Tarnopola, przedstawiali mu, aby ustatkował, lecz wszystko nadaremnie! On wymógł na nich, że sprzedali kilka kawałków roli i dali mu pieniędzy na uregulowanie i poprawę losu swego. Lecz wszystkie pieniądze przetracił z równymi sobie towarzyszami i sam w krótkim czasie, wyjechał do Lwowa.

Tam włóczył się bezczynnie po ulicach, aż nareszcie, nie mając ani grosza, przyjął posadę pisarza dziennego u jednego adwokata, za bardzo małem wynagrodzeniem.

Michaś we Lwowie.

Adwokat był zadowolony z jego pracy i w krótkim czasie podwyższył mu płacę miesięczną, która wystarczała na utrzymanie, a przy oszczędnem życiu, można było coś odłożyć na czarną godzinę, lecz u Michasia nie było „jutra", on nie myślał o jutrzejszym dniu a tem mniej o przyszłości.

Czas upływa szybko, czy to w szczęściu i powodzeniu, czy w przeciwnościach i niedostatku. Tak też rok po roku upływał, a Michaś niczem nie był, tylko zwykłym pisarzem: mieszkał kątem, nic nie miał prócz tego, co na nim, nie zastanawiał się, jaka jego przyszłość będzie?!

Zaglądnijmy do jego rodzinnej wioski, co robią jego rodzice, do których on od dwóch lat nie pisał: Oto ze zgryzoty prowadzenia się ich syna, często chorowali, dużo na niego wydawali i w szkołach i później; wywianowali dwie córki, a to co jeszcze mieli, nie było komu koło tego chodzić: płoty i parkany koło domu upadały, dom potrzebował naprawy, bo czas wszystko niszczy. Postanowili jeszcze raz napisać do Michasia, aby powrócił do rodzinnej zagrody i zajął się gospodarstwem. — Ponieważ nic nie odpisywał, więc cały majątek oddali pod zarząd zięcia Mączarskiego, który mieszkał w Zbarażu.

Michaś bawił się we Lwowie i prawie zapomniał o swych rodzicach, żył jak już nadmieniłem bez „jutra", bez przyszłości. Gdy mu kto z życzliwych robił uwagę, aby nie pił, aby ustatkował i oszczędzał. Na to odpowiadał: Jeszcze czas do ustatkowania! i dalej swoje robił.

Pewnego razu, gdy dłuższy czas zabawiał się z podobnymi sobie, powrócił późno do domu i uczuł nagle kłócie w płucach, gorączkę i wielkie osłabienie na całem ciele. Zachorował na zapalenie płuc. Gdy dowiedział się

o tem jego chlebodawca, kazał go odwieźć do powszechnego szpitalu. Tam otoczono go opieką, i po kilku tygodniach powrócił do zdrowia. Lecz to zdrowie było już nadwyrężone, Michaś ledwo trzymał się na nogach. Po wyjściu że szpitalu, nie miał przytułku, nie miał czem się posilić, ani ogrzać, a to było jakoś z wiosną. Z miłosierdzia przyjęli go ludzie u których dawniej kątem mieszkał na krótki czas, aż znajdzie sobie zatrudnienie.

Poszedł on do adwokata, u którego był pisarzem i prosił, aby mu dał tam zajęcie. Ów adwokat rzekł: Panie, nie ma miejsca! — Ze łzami w oczach chciał Michaś odejść, lecz ten pobudzony litością, dał mu 20 złp. mówiąc: Widzę i poznaję twe smutne położenie, lecz u mnie nie ma przytułku, temi słowy pożegnał go. — Biedny Michaś ledwie wymówił dzięki, dzięki za dar! i opuścił kancelaryę, poszedł posilić się, bo od kilku dni żył wyłącznie kawałkiem suchego chleba. Domyśleć się można czem się posilał?... Nazajutrz znaleziono go na schodach, leżącego koło domu, gdzie kątem mieszkał. Ludzie przechodząc koło niego, utrzymywali, że nagle zachorował i odwieziono go do szpitalu. Lekarz zbadał stan jego zdrowia a po kilku dniach gmina miasta Lwowa odesłała go przymusowo do wioski rodzinnej.

We wsi nikt go nie poznał, tak się zmienił: twarz opuchła, nos posiniały, oczy zapadłe, usta spalone, a głos wydawał głucho huczący. Na ten widok, syna niesfornego, rodzice rozpłakali się i zajęli ratunkiem.. Przy ich troskliwości i pomocy lekarskiej, po kilku tygodniach czuł się lepiej.

Wojciech Tur, znany nam z pierwszej części tej powieści, jako naczelnik gminy w porozumieniu się z Radą, nadał Michasiowi posadę pisarza, czyli sekretarza gminnego. Z podziękowaniem przyjął on tę posadę i spełniał swe obowiązki z zadowoleniem gminy, lecz często zapadał na zdrowiu: Gorączka go trawiła, oddech przyspie-

szony, a kaszel nieustawał. Pewnego dnia zemdlał i padł na ziemię jakby martwy. Sprowadzony lekarz ze Zbaraża, po zbadaniu stanu zdrowia rzekł: Ratunku nie ma: płuca spalone, cały organizm zrujnowany, życie na schyłku! Smutno, że w tak młodym wieku, stał się bezsilnym starcem.

Michaś jeszcze tydzień walczył ze śmiercią i błagał o ratunek: Wołał, dlaczego tak wcześnie muszę umierać?! Droga, którą postępowałem, skróciła dnie życia mego. Ach! straszna ta droga! To były jego ostatnie słowa!

**

„Idź książeczko w świat,
Do domów i chat
Do dzieci i młodzieży
Przemów, jak żyć należy.
Wskaż im która droga,
Prowadzi do Boga!"

Napisałem w Gródku Jagiellońskim r. 1908.

Antoni Zieliński
(em. nauczyciel szkoły wydziałowej).